

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 211.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 10 października 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU.

Jerzy Samuel Bandtkie, profesor bibliografii i bibliotekarz przy uniwersytecie jagiellońskim (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Kościół farny w Włocławku (z drzeworytem).—Pomywaczka, obrazek z końca XVIII wieku (z trzema drzeworytami).—Przegląd polityki zagranicznej.—Sprawy społeczne.—Wikingi z Wolina (wiersz).—Przegląd piśmienniczy.—Rozmaitości.—Szachy.—Rebus.

Jerzy Samuel Bandtkie,

PROFESOR BIBLIOGRAFII I BIBLIOTEKARZ PRZY UNIWERSYTECIE
JAGIELLOŃSKIM. (1)

Gdy spojrzymy na świetne czasy rozwoju oświaty i literatury naszej za panowania Stanisława Augusta i nieustające już na tej drodze dalsze postępy, nie mogą ująć naszej uwagi w późniejszych, a nawet bliższych nam już czasach dwaj Bandtkowie, to jest Jerzy Samuel i jedyny brat jego wśród liczego rodzeństwa Jan Wincenty, którzy pod względem naukowym bezwzględnie wysokie zajęli u nas stanowisko. Nie pochodzili oni z przodków rodu polskiego, ale raczej należą do tych obcych przychodniów, których ojcowie, z powodu prześladowania religijnego protestantów w czasie trzydziestoletniej wojny, lub poprzednio jeszcze, uchodząc z Czech lub Niemiec, szukali dla siebie bezpieczeństwa i spokoju w gościnniej zawsze dla wszystkich wyznań Polsce. Ci wychodźcy, osiadając w Wielkiej Polsce przy granicy szlaskiej, dali początek w 16 wieku między innymi miastom Lesznu i Bojanowu.

Chcemy dzisiaj poświęcić słów kilka pamięci Jerzego Samuela Bandtkiego, zostawiając sobie wspomnienie o młodszym bracie jego na później.

Ojciec ich, Jan Samuel Bandtkie, rodem był ze Szlichtyngowy, miasteczka bliskiego Leszna; następnie osiadł w

Lublinie, gdzie był kupcem dość majątnym. Tam też urodził się syn jego Jerzy Samuel d. 24 listopada 1768 r., z matki Anny z Noaków Bandtkie, urodzonej w Lublinie. Chrzczony był w porze zimowej, o kilka mil od Lublina, a gdy po chrzcie wieczorem niewiasty wracały, nie spostrzegły iż przy uderzeniu sań, dziecko w śnieg wypadło i na drodze zostało. Niemalby więc czas upłynął nim postrzeżono zgubę i dopiero za przyniesieniem światła chłopca w śniegu znaleziono.

Już w domu rodzicielskim okazywał wielką chęć i zdolności do nauk, szczególnież zaś do historii i geografii. R. 1779 d. 15 marca wyjechał do Wrocławia do szkół gimnazjalnych św. Elżbiety; lecz wkrótce

ojciec jego podupadł majątkowo i młody Bandtkie musiał się być chwycił jakiego rzemiosła, gdyby zasłużył podówczas profesor Dawid w Wrocławiu, poznawszy zdolności młodzieńca, nie był go zachęcił do ćwiczenia się dalej w naukach, kształcąc go prywatnie w języku łacińskim bez wszelkiego wynagrodzenia. Stryj także jego, Jan Jerzy Bandtkie, mieszczanin miejscowy, stał się dlań drugim ojcem, utrzymywał go przez lat ośm w gimnazjum wrocławskim, a po złożeniu egzaminu dojrzałości, zobowiązany przedstawieniami tegoż profesora Dawida, dał mu tal. 300, tak iż młody Bandtkie mógł w r. 1787 udać się do uniwersytetu w Halli, gdzie spędził lat dwa, a następnie w Jenie rok jeden. Zato stryj nie żądał niczego więcej, jak tylko aby oddał to innym, to jest aby był później dla innych równie dobroczynnym. Nie zawiódł też Jerzy tego zaufania, gdyż dobiwszy się stanowiska, a pozostając długo bezzennym, mógł większą część swego dochodu poświęcać na pomoc dla młodzieży celującej pilnością i odznaczającą się talentem, którą utrzymywał swym kosztem na uniwersytetach, a w liczbie jej i brata swego młodszego.

Po powrocie z Jeny r. 1790, przyjął obowiązki nauczyciela u młodych synów Piotra Ożarowskiego, kasztelana wojnickiego, później hetmana koronnego, a to za poleceniem Müllendorfa Warszawianina, bankiera wrocławskiego. W tym domu pozostawał lat ośm, mianowicie zaś pierwsze trzy lata w Warszawie i Brzozie, po śmierci Ożarowskiego w Dreźnie i Berlinie, ostatnie zaś dwa lata w Petersburgu, gdzie się nauczył po rosyjsku i poznał literaturę starosłowiańską. W r. 1798, za staraniem wspomnianego już wyżej Dawida i innych swych dawniejszych profesorów, powołany został na substytutę i nauczyciela języka polskiego, przy gimnazjum św. Elżbiety w Wrocławiu; r. 1799 na tłumacza przysięgłego przy urzędzie municypalnym w Wrocławiu, a nieco później jeszcze na tłumacza przy kamerze królewskiej tamże, oraz na rektora św. Ducha i bibliotekarza u św. Bernarda seneńskiego.

Z tego stanowiska r. 1811 wezwany do Krakowa przez izbę edukacyjną, stanął tam d. 27 sierpnia i objął zarząd biblioteki uniwersyteckiej d. 4 września tegoż roku.

W jakim stanie nieladu, a nawet zubożenia, zastał bibliotekę jagiellońską,



JERZY SAMUEL BANDTKIE. (Podług wizerunku rodzinnego.)

(1) Ob. Kwartalnik naukowy krakowski t. II zeszyt 2 str. 364, gdzie jest bieg życia przez niego samego skrócony r. 1826, gdy wszyscy profesorowie uniwersytetu, przy nowym wówczas jego organizacyi, życiorysy swe składali. Tamże str. 321 czytamy artykuł: Jerzy Samuel Bandtkie w stosunku do społeczności i literatury polskiej. Z tych dwóch artykułów zrobiono użytek do dzieła: Życiorysy znakomitych ludzi, wstawionych w rozmaitych zawodach, t. I str. 347 i w Przyjacielu ludu leszczyńskiego, t. II str. 35.

opisuje to sam w historii tej biblioteki. Zakład ten, przebywszy z niemałym uszczerbkiem smutne koleje w czasie wojen szwedzkich, pomnożył się około roku 1780 za staraniem kommisji edukacyjnej, tak iż liczył znów około 32,000 tomów, a po usunięciu dubletów, w 1783 lub 1784 roku, zmniejszył się na 25,000 tomów. Gdy jednakże w następnych wypadkach krajowych, osobliwie w latach między 1793 i 1811, mniemano, że biblioteka ta nie nazawsze pozostanie w Krakowie i przeniesiona będzie gdzieś indziej, gdyż nawet już król Stanisław August zamyslał umieścić ją w Warszawie, wielu więc panów sądziło, że wszelkimi sposobami brać z niej co można, całkiem jest rzeczą godziwą. (1) Zresztą ogłoszona była w znacznej części z swych dochodów, które na wojenne cele użyto. Tak więc przy zajęciu Krakowa przez rząd austriacki, ówczesnemu bibliotekarzowi Jackowi Przybylskiemu przyszło narzekać, że za posługaczy w bibliotece ma wróble, które mu robactwo z ksiąg wyjadały. Nie przyszła do ładu biblioteka i pod dwoma następnymi bibliotekarzami, przez rząd austriacki osadzonymi, Spejderem i Voigtem, żaden bowiem z nich nie dopełnił nawet braku katalogów, ani też pod księdem Dominikiem Markiewiczem, proboszczem stobnickim, który po ustąpieniu z Krakowa Austriaków r. 1809, tymczasowo biblioteką zawiadywał. Bandtkie więc dopiero, wprowadzony w omszałe mury odwiecznej jagiellońskiej wszechnicy, pomiędzy usypane w stopy kilkonastotysięczne księgi, zwaliska szaf, graty i śmieci, widział przed sobą ruiny jakby rozwalonej niegdyś wspaniałej stolicy, której odbudowanie jemu polecono, widział zamęt, który aby do ładu przyprowadzić, czuł iż całą resztę życia poświęcić będzie musiał. (2)

Jakich do tego używał sposobów i pomocy, jakich kosztować musiał goryczy, zdał z tego obszerną sprawę w wspomnianej już historii biblioteki uniwersytetu jagiellońskiego, wydanej r. 1821.

Mówi tam Bandtkie między innemi: „Dzieł polskich teraz mamy 1280 w tomach 2245. Nie zastaliśmy r. 1811 w starej bibliotece więcej jak 200 dzieł, reszta przybyła albo z kupna, albo z darów poczęści przeze mnie wyproszonych.“ (3)

Zaraz od objęcia tej księżnicy w r. 1811, zaczął mieć z katedry publiczne odczyty bibliografii, a w roku następnym otworzył już bibliotekę do powszechnego użytku. Od r. 1813, gdy widział tego potrzebę, zaczął dawać lekcje języka łacińskiego, bez żadnego zato wynagrodzenia. Przez lata 1814, 15 i 16 był dziekanem wydziału filozoficzno-literackiego, a r. 1819 obrany został z akademii na rok jeden senatorem ówczesnej rządu krakowskiej. Powołano go z Krakowa napowrót do Wrocławia i Leszna na rektora, pod korzystniejszymi dla niego warunkami, lecz przekładał pobyt na raz zajęciem stanowisku. Został też jeszcze w r. 1804 członkiem Towarzystwa uczonych w Łuzacyi, w r. 1810 warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, w r. 1812 doktorem filozofii, a w końcu członkiem Towarzystwa naukowego krakowskiego.

W cichem życiu Bandtkiego, oddanego całkiem pracom naukowemu, upływały spokojnie lata aż do roku 1833, w którym nastąpiła nowa uniwersytetu krakowskiego organizacja. Nie zrzuciła ona wprawdzie żadnej zmiany w jego stosunkach, jednakże przy jednym zmartwieniu, wstrząsnęła zbyt mocno umysł ogromnemi pracami zniekany. Uderzenie paraliżowe d. 23 sierpnia 1843 r. na górną część ciała, podało w stan wątpliwy życie jego. Biegłość lekarzy wyprowadziła go jeszcze z niebezpieczeństwa, tak iż w lecie 1834 r. znów był zdolnym do pomniejszych prac umysłowych, do których rwał się ciągle, pomimo zakazu lekarzy. W jesieni tegoż roku zwiłżał mineralne wody w Karlsbad i Cieplicach, lecz po powrocie do domu po raz drugi zapadł na zdrowiu, a w siedm miesięcy później, przy trzecim uderzeniu paraliżowym, rozstał się z tym światem d. 14 czerwca 1835 r. Na obchodzie pogrzebowym, przemowę godną mistrza miał jego uczeń a później kolega, profesor uniwersytetu jagiellońskiego Kajetan Trojanowski. Zwłoki pogrzebano na cmentarzu rakowickim.

W r. 1818 d. 25 listopada, a więc już w pięćdziesiątym roku życia swego, pojął w małżeństwo siostrę swoją Zuzannę Dorotę Bandtkie, córkę innego znów, a także dawniej w Wrocławiu zamieszkałego stryja Chrystyana Bogumiła Bandtkie. Z tego małżeństwa nie zostawił żadnego potomstwa. W ostatniej swej woli, ustanowił żonę dziedziczką całego majątku, z wyjątkiem niektórych legatów. Piękną zaś i bogatą własną bibliotekę przeznaczył dla bi-

blioteki uniwersytetu, z warunkiem, aby rząd za to wdowie po nim pozostałej 1500 złp. rocznie wypłacał.

Opowiedziawszy żywot Bandtkiego, przejdźmy teraz do prac jego literackich.

Wszystkie jego dzieła odnoszą się albo do dziejów narodowych, albo też do badań języka ojczystego. Te dwa kierunki zdaje się jakby wytknął sobie na całe życie swoje. W pierwszym, to jest dziejowym względzie, zaczął on zawód autorski od pojedynczych historycznych wywodów, szczególniejszą Słaską się dotyczących. Wiadomości te, umieszczone początkowo w Schlesische Provinzial Blätter, piśmie peryodycznym w Wrocławiu wychodzącym, później poprawne, wraz z kilku nowymi badaniami, ogłosił w zbiorze swych rozpraw odnoszących się do dziejów Polski, Słasku, Miśnii i Rossyi i do uwag nad dziełami innych pisarzy rzeczy słowiańskie rozbiierających. Zbiór ten wydał w Wrocławiu pod tytułem: Historisch-critische Analecten zur Erläuterung der Geschichte des Ostens von Europa, Breslau 1802, bei Meyer, in 8vo, 308 stron. Dzieło to, chociaż niewielkie, wprowadziło Bandtkiego odrazu w szereg znakomych narodu naszego pisarzy. Usiłował on w nim ze źródeł historycznych podać wierny obraz stanu włościan w Polsce i zniszczyć przesadne cudzoziemców pod tym względem mniemania. Wiele tam nowych historycznych znajdujemy postrzeżeń, lub nowymi dowodami popartych, a jeśli gdzie sam nie doszedł do źródła, następnym badaczom ułatwił zbliżenie się do prawdy.

Nie wdając się w ocenienie innych prac jego, z których wymieniamy: Słownik dokładny polskiego i niemieckiego języka, do podręcznego użytku, Wrocław 1806; De primis Cracoviae in arte typographica incunabilis, Crac. 1812; Historia drukarni krakowskich, Kraków 1815; Historia biblioteki uniwersytetu jagiellońskiego, Kraków 1821; Historia drukarni w Polsce i w k. s. litewskiej, 3 tomy, 1825—1826, — przechodzimy do pobieżnego sprawozdania o najważniejszej z nich, która wyszła w Wrocławiu 1810 r. p. n. Krótkie wyobrażenie dziejów królestwa polskiego. Najlepszy zapewne sędzia, Lelewel, mówi o tym dziele: „Przyjemnie jest zwrócić oko na rok 1810, w którym Jerzy Samuel Bandtkie ogłosił drukiem w Wrocławiu, „Krótkie wyobrażenie dziejów królestwa polskiego,“ w którym odpowiadając ściślej jak ktokolwiek dotąd widokom historii pragmatycznej, pospelnieniu różnych uwag o początku narodu polskiego, dzieląc historię na cztery epoki, przywiązane prawda do familij panujących i opisując po kolei panowania królów i monarchów polskich, pod niemi wytyka wewnętrzny, mianowicie psujący się skład narodu, jego okoliczne związki, wzmaganie się, słabnienie i przyczyny ostatecznego upadku, a to z tą prostotą, z talem przywiązaniem do prawdy, otwartością i śmiałością, która pociąga ku sobie czytelnika, wzbudza w nim zaufanie i szacunek wdzięczności, ale zarazem żal, że autor wylawszy swą pracę na ostatnią epokę, na równi z nią innych poprzednich nie postawił. Bo przy tak wielkiej historyka zaletach, jego krótkie wyobrażenie dziejów w całym składzie jest niezmiernie niejednostajne, rozsypane i coraz w inną postać; różny nawet sposób opisanie, różny tok wyśłowienia się, czego przyczyny po części sam historyk wytyka, gdy przyznaje, że dzieje które nazywa przedpolskie, wyobrażone w rozprawach o Scytyi, Sarmacji, Dacyi, o Słowianach i bajecznej historii polskiej, są jego własnością, a co się tyczy historii w epoce pierwszej i drugiej, składa się w znacznej części z wypisów, że epokę Jagiellonów krócej opisał, epokę zaś czwartą, a zwłaszcza w wieku XVIII, trochę obszerniej wystawić się starał. Pochodził ztąd nierówny opis wypadków; trzeba wypisy zszywać swemi słowy, innym od wypisywanego stylem.“

Czwartą epokę, a zwłaszcza wiek XVII, obszerniej autor wystawia, z powodu iż pod długim panowaniem Zygmunta III zarodziły się zawiązki tych klęsk, których Polska potem w XVIII wieku doznała, gdy krótkie panowanie Władysława IV, a ciągła niedola Jana Kazimierza, nie dały zagładzić zarodków nieszczęść, które Polskę dziwnym jakimś losem w wieku następnym udęczyć miały. Z równą starannością wyobrazić usiłował, ile można było, niewstrzymanie upadku Polski, pod królami wielkich domów polskich Michałem i Janem III, gdyż i pod ich rządem szukać należy przyczyny następnych wypadków. Panowanie dwóch Augustów II i III elektorów saskich, wystawił w krótkości, gdyż te czasy z najnowszymi się stykają, a dopiero czas stułetni, zdaniem autora, wiele rzeczy po upływie swym odkrywa. Dlatego też panowania Stanisława Augusta nie chciał wcale opisać i umieścić tylko z tego czasu daty historyczne. Takie rozerwane kręślenie rzeczy historycznych sprawia bezwątpienia niejednostajność, a częstokroć nieciągłość opisów; pomimo wszakże tych usterek, nazywa Lelewel pracę

Bandtkiego „jednym z najcenniejszych dzieł w języku polskim.“

Drugie poprawne wydanie jego p. n. Dzieje królestwa polskiego, wyszło także w Wrocławiu 1820 r. Obok ulepszenia pod względem typograficznym i rycin, nastąpiły jeszcze w tym wydaniu bardzo liczne przydatki i różne odmiany, tak iż nieledwie o czwartą część dzieło powiększone zostało. Znajdujemy tam rozszerzone wiadomości o Słowianach, a dodane o Morawii i jej posadzie, o bóstwach Słowian, wojsku i wassalstwie, o Pieczyngach i Połowcach, o Ossyaku, szkołach, zakonach, handlu, przemysle, kopalniach, osadach, miastach, o stanie wiejskim, trudności jakie zachodzą co do granic i wojen za Mieczysława I, Bolesława Wielkiego i Mieczysława II, dzieje Litwy przed połączeniem z Polską, o naukach i oświeceniu, o postępowaniu Zygmunta względem innowierców, o projektach osadzenia na tronie polskim królewicza portugalskiego i wreszcie dodane są daty historyczne od r. 1795 do 1818.

Wydanie trzecie dziejów, więcej jeszcze pomnożone, wyszło także w Wrocławiu 1835 r. Z ważniejszych dodatków w tym wydaniu znajdujemy: wiadomości o Dacyi, Serwianach, Bośniakach, Dalmatach, Bułgarach i nowszej z Szafarzyka statystyce ludów słowiańskich. W czasach pewniejszej już historii podał obszerniejszy i nowy wywód o granicach biskupstwa pragskiego, za czasów pierwiastkowych chrześcijaństwa w tych stronach; o niesłusznym wyrzucaniu Dytmarowi nieprzyjaźni względem Polaków, o różnych podaniach względem ucieczki Ryksy i Kazimierza Mnicha, tudzież ustęp nowy o Pieczyngach i Połowcach. W dodatku o monecie w Polsce, umieszczonym przy panowaniu Wacława króla, przydanym został ustęp o szelągach, denarach i brakteatach, tudzież o przetapieniu, jako też o biciu monet przez książąt różnych prowincji polskich; o mennicach kilku miast, o znajdowaniu monet rzymskich w Polsce i t. d. W tomie drugim znajdujemy dodane ważne wiadomości o chorągwiach przez Władysława Jagiełłę pod Grunwaldem zdobytych; o urządzeniu uniwersytetu pragskiego, paryżkiego i padewskiego; osobny rozdział o dwóch Warneńczykach samowładcach; o Stanisławie i Januszu ostatnich książętach mazowieckich; o zabawnem wstrzymaniu elekcji Władysława IV przez pewnego szlachcica; o Rakowie siedlisku głównym Aryanów i t. p. Najobszerniejszym jednakże dodatkiem jest: „Zakończony o monetach polskich i litewskich, z wyrażeniem wartości na monetę podług r. 1766,“ w którym objęty jest stan menniczny Polski, w czasach po Władysławie Jagielle i Warneńczyku.

Oprócz dzieł powyżej wspomnianych, umieścił jeszcze wiele uczonych rozpraw w różnych historycznych przedmiotach w pismach peryodycznych: Schlesische Provinzial Blätter od 1798 do 1810 r., w Miscellanea Cracoviensia i w Rozmaitościach naukowych krakowskich, które to pisma wychodziły pod jego główną redakcją; dalej w Pamiętniku warszawskim, wydawanym przez Bentkowskiego i Osirskiego, w Wykazach prelekcji uniwersytetu jagiellońskiego (Index lectionum) i w Dzienniku Reicha i Oelsnera: Schlesien ehedem und jetzt.

Zostało nadto po śmierci Bandtkiego w rękopiśmie niezmiernie ważne i uczonne dzieło: Historia prawa saskiego, czyli niemieckiego w Polsce, napisane w języku łacińskim. Dzieło to, niezupełnie ukończone, darował przed zgonem swoim Rzezińskiemu, znanemu uczonemu prawnikowi w Krakowie. Pozostały także bardzo ważne rękopisma, wyciągi historyczne i zbiór nieznanych dotąd listów Jana III.

Helcel w rozprawie swej: Jerzy Samuel Bandtkie, w stosunku do społeczności i literatury polskiej, wyraża się słowami, któremi i my wspomnienie to zamykamy:

„Bandtkie stał się zakonnikiem nauk, a śluby któremi się zowią, do ostatnich dni życia wiernie zachował. Przygnał on do nich z taką czystością, iż żadna inna dążność w zawód życia jego się nie wciśnęła. Wśród przeważnych nawet zmian stanu społeczności której był członkiem, nie wystąpił on nigdy w obywatelskim charakterze zapasnika publicznego tej lub owej opinii. Do rzeczy publicznych nie zwracał on siły swego umysłu, dopóki te w przeszłość nie speliły, w której się z zakresem jego zawodu złączyły. We wczesnej już młodości nawykł był odwracać oczy od otaczających go stosunków, a ścigając tem usilniej za jasnością prawd o zmiennej obecności niezawisłych, odzywał się niemal od przziębienia rzeczy bliskich. Nie wystawiajmy go więc sobie jako obywatela skrzętnego o rozliczne potrzeby społeczności swojej. To pole zostawił innym, a gości na niem nie brakło. Sam udał się w stronę przez wielu tylko uczęszczaną, gdzie zakres powinności oby-

(1) Bandtkie, historia biblioteki str. 143.

(2) Kwartalnik naukowy krakowski, t. II zeszyt 2 str. 355.

(3) Bandtkie, historia uniwersytetu jagiellońskiego, str. 182.

watela bynajmniej nie ustaje, lecz gdzie przedmiotem zabiegów nie są chwilowe i widoczne sprawy, ale skryty częstokroć a przecież trwały postęp ducha; gdzie skutkiem ich nie są przerażające przekształcenia, lecz swobodne i ciche zbliżanie się do prawdy; gdzie wreszcie nagrodą nie są łoskotne tryumfy i zaszczęty zewnętrzne pierwszeństwa między obywatelami, lecz rozkosz wpawana przez własne przekonanie, iż się po skromnej tej drodze nie bez korzyści dla świata postępowo.

„Niewielu uczonych wyrównało mu w mocy uwzięcia się przy szczegółowych puszkiwaniach prawdy. To co pospolitost za ośchłe, nudne i bezużyteczne uznawała, czém się półmędrki wzajemnie strasyli, ciesząc się z wygodnej swój uczoności, w to Bandtkie wnikać, tam gościć nie wahał się, ztamtąd też skarby wynosił, aby z nich ci sami którzy zeń sztydziłi, wygodniej każdy po swojemu korzystać mogli.“

Życie Bandtkiego opisał następca jego na rektorstwo szkoły św. Ducha w Wrocławiu, w dziele noszącym napis: *Geschichte des Hospital's und der Schule zum heiligen Geiste, so wie auch der Bibliothek zu St. Bernhardin zu Breslau, abgefasst von Michael Morgenbesser. Breslau 1814, str. 40.*

Kronika tygodniowa.

Najpiękniejsza jest róża, gdy w cierniach rozkwita,
Najwonnijsza, gdy rosą pokrywa się z rana,
I nadzieja najmiłsza, gdy wśród nieszczęść świata,
I miłość najgorętsza, gdy łzami oblana....
I wola najsilniejsza, gdy próżna uniesień,
I rok najpomysłniejszy, kiedy piękna jesień.

Ci z czytelników, którzy nie znają autora tych wierszy drukowanych kilkanaście lat temu, niech zgadną kim on był, młodzieńcem czy starcem?

A zapytanie czynię umyślnie dlatego, że cztery pierwsze wiersze zdaje się jakby wyszły z pod młodzieńczego pióra, dwa zaś ostatnie znamionują widocznie człowieka co długo żył na świecie i więcej wierz w umiarkowanie rozumu jak w popęd serca, więcej ufa ostatniemu uśmiechowi słońca, aniżeli palącym jego uściskom.

Przytoczyłem je zaś dla tego, że jakkolwiek widocznie poeta brał w przenośni rok za życie, a jesień za schyłek jego, są one jednak dla mnie wybornym wejściem w materyą do mówienia o babie lato.

Tak jest, chcę dziś trochę z wami pogawędzić o perle obecnej pory roku, o tém ostatniem przymileniu się pogody i słońca, które u nas zwłaszcza nigdy nie chybia.

Francuzi wiotkie włókna pajęczę ukazujące się podczas babiego lata, nazwali *nitkami Najświętszej Panny Maryi*, która przedając je na niebieskich krosienkach, spuszcza na ziemię i wstrzymuje tym sposobem grożące niepogody i dżdżycę.

Kilka poetycznych legend przyczepiono do tego podania.

Ale daleko poetyczniejszą od wszystkich podań i legend wydaje nam się nazwa polska obecnej pory, pomimo pozorniej swój trywialności.

Babie lato!

Żaden może język nie ma tylu wyrażen na oznaczenie istoty płci żeńskiej, ile nasz: kobieta, niewiasta, białogłowa, baba wreszcie; każde z tych wyrażen jest uarte, każdego się używa, i każde posiada osobne swoje znaczenie wewnętrzne, tak iż mówiącemu albo piszącemu, bez wiedzy prawie przychodzi na język lub pod pióro właściwa nazwa.

Kobieta, jest to wyrażenie ogólne, jest to człowiek płci żeńskiej. Wszelkie przymiotniki z nim się godzą. Można powiedzieć: kobieta genialna i kobieta do niczego, kobieta piękna jak anioł i brzydka jak grzech śmiertelny, a zawsze będzie dobrze. Niedawno jeden z korespondentów Kurjera niedzielnego upomniał się za tym wyrazem, jako najpiękniejszym w mowie naszej, a niepotrzebnie zastąpionym przez nazwę *dama*, jakiej wielu używa, chcąc niby uszlachetnić osobę o której mowa. Zgadamy się najzupełniej z korespondentem. Kobiety nasze tak przyzwyczajają nas szanować to ich miano, że powinniśmy je im zachować. Ale wyraz *kobieta* oznacza już nowsze stanowisko słabszej połowy rodzaju ludzkiego; w mianie tém leży pewne zrównanie się z mężczyzną, którego w odległej przeszłości próżno szukać.

Niewiasta, zabytek tej przeszłości, nosi już w składzie swoim pewne słabości i niższości znamiona. Widocznie źródłosłów tego wyrazu pochodzi ztąd, że chciano nim oznaczyć istotę która niema dostatecznych wiadomości, która bez podpory męskiej ra-

dy sobie dać nie może, która koniecznie potrzebuje silnego przewodnika. I tak było przez długi czas w wyobrażeniu, jeżeli nie w rzeczy samej. Choć bowiem niewiasty u nas więcej miały i swobody i wpływu, aniżeli w innych krajach, zawsze jednak ulegaliśmy ogólnemu prądowi, i miecz zacieśniał silnie obręb działania wrzeciona.

Inne zupełnie jest znaczenie miana *białogłowa*. Tutaj kobieta nazwana jest jako wyraz wdzięku, piękności i wszystkich tych powierzchownych zalet które jądobią. Niestety, dziś ten wyraz nie mógłby się utrzymać, zwłaszcza w pewnych sferach. Dziś znikła zupełnie prawie różnica pomiędzy kobietami a wieloma mężczyznami wydelikatnionymi, wycackanymi, wstojonymi, dbałymi o płeć swoją, używającymi mydła migdałowego, maści ogórkowej, a kto wie może nawet pudru ryżowego. Dawniej żaden mężczyzna nie myślał o tém. Opalony na słońcu i wietrze, oswojony z upałami i słotami, mało dbał o swą powierzchowność, utrzymując hart ciała i siłę dłoni, żeby go w potrzebie nie zawiodły. Pozostawiał on kobietom wszystkie starania o piękność i wdzięk ciała, które próżniactwo i zniewieścialsłość wprowadziły w użycie w wieku naszym. I dziwić że się tu iż kiedy sama nazwa mężczyzny wydaje się u wielu z nas jak gdyby przywłaszczoną, nawiązanie białogłowy powoli także wychodzi z użycia. Niestety, nie ma ono już powodu istnienia. Mądry Ulisses poznał Achillesa w niewieście suknie przebranego; u nas wielu Achillesów próżnoby szukał i zużyłby na to daremnie wszystkie wymysły bujnego swego dowcipu.

Owóż trzy główne cechy: pełność przymiotów kobiecych, słabość i wdzięk, wyrażają się w trzech powyżej wymienionych nazwach.

Za to wyraz *baba* jest zaparciem tego wszystkiego. Baba, to istota wydziedziczona, upadła, stracona z królowania wdzięków i miłości, zmuszona szukać sama w sobie rady i pociechy po tém co utraciła, a czego już nigdy odzyskać nie zdoła. Do tej nazwy przywiązuje się zwykle coś upokarzającego: babskie plotki, babskie grymasy, baba zła jak szatan, baba brzydka jak grzech śmiertelny, baba nudna jak lukrecya i t. p.

Nie będziemy szukali źródłosłowa tego wyrazu, ani głównego jego zastosowania. Baba, to wyręczycielka Lucyny pogańskiej, i jako taka uważana za wtajemniczoną w różne wiadomości i środki nieznanego ogółowi. Krok tylko, a baba przekształca się w czarownicę.

A czémże jest babie lato?

Oto ostatni uśmiech słońca, rzuconym na pociechę tym wydziedziczonym istotom, które dawniej używały w całej pełni wiosny i lata, tego źródła światła i ciepła; oto zlitowaniem się Bożem nad upokorzonemi i łaknącemi pociechy.

Więc wy wszyscy którzy cierpicie, wy wszyscy którzy tęsknicie, wy którzy odosobnieni oglądacie się naokoło, a nie znajdujecie żadnego współczucia, tylko krzywe spojrzenia, jadowite twarze, wyraz gniewu na ustach i rękę odpychającą was od siebie,—dla was to Bóg zsyła ten złoty promień łaski, który błyska niespodziewanie, bo w chwili kiedy o spóźnionej już porze słoty i niepogody miały wam grozić. Korzystajcie z niego, o wydziedziczonych, on odżywia was, odświeża, daje wam siłę do wytrzymania slot jesiennych, wichrów i szronów zimowych.

I spojrzcie na te nitki pajęczę, co unoszą się w koło was w powietrzu. To znamiona złudzeń waszych, to szczęście którego szukaliście w wiotkich jak ta pajęczyna włóknaach, to radość którą zakładaliście na słabiej jak ona tkance; one chłodu pierwszych dni jesiennych nie wytrzymały, a dziś ulatują w powietrzu te ziemskie wasze uciechy i świecą się jeszcze pod promieniem słonecznym tęczowym blaskiem, niemniej zwodniczym jak wówczas, kiedy na życie i za życie wam starczyły. Uczcie się w tej szkole rzeczywistości, która rozczarowywa, ale i zbawia zarazem, a nauczani, będziecie mogli powiedzieć z poetą:

Najsilniejsza jest wola, gdy próżna uniesień,
I rok najpomysłniejszy, gdy pogodna jesień.

Od pewnego czasu na czwartych kolumnach pism tutejszych napotyamy dość częste ogłoszenia o papierze samopis. Jest to, podług określenia samegoż wynalazcy, papier „który poniekąd sam pisze, to jest na każdym swym kawałku przedstawia w skróceniu wodnym wszystkie litery już gotowe. Są to litery geometrycznie regularne i pomimo niejakić ich różnicy od druku Europy dzisiejszego, już na pierwszy rzut oka zrozumiałe wszystkim tenże druk znającym.“

Papier samopis! ogromny wynalazek! Ogłaszający zapominał nam tylko dodać, czy głoski na nim kształ-

tują się same w zgłoski, wyrazy, zdania, czy wedle zyczenia na tym papierze można będzie napisać list, rachunek, artykuł, pozew i t. p. Boć głoska to grunt, to pierwsza cegła podmurowania, a reszta idzie za nią.

Jest to wynalazek prawdziwie godny dziewiętnastego wieku, bo zwalnia nas nie tylko od umiejętności kaligrafii, ale od wszelkiej nauki, studyów i t. p. Ba, nawet znajomość języków staje się zupełnie zbędną, bo papier pozwala pisać jakim językiem kto zażąda. Wynalazca tak dalece zdaje się być przekonany o ważności swego pomysłu, który się ma na cały świat rozszerzyć, że nakłada nader ciężkie warunki na wszystkich przemysłowców co by chcieli korzystać z dobrodziejstwa wyrabiania papieru samopisu: każdy z nich powinien mu wypłacić pięćdziesiąt tysięcy franków w dzień podpisania przywileju i co rok potem oddawać dziesiątą część dochodu z wyprzedaży papieru.

Istotnie, w naszym wieku dziwna rodzi się dążność. Obok wynalazków wielkich i użytecznych, co chwila ukazują się takie, które nie tylko żadnej doniosłości w postępie cywilizacji, ale żadnego nawet praktycznego nie przedstawiają użytku. Boszczęrze mówiąc, na co się przyda taki papier samopis? Jeżeli służyć będzie tylko do tego, (o czém wątpimy) ażeby nie umiejący pisać kreślił na nim pojedyncze głoski bez żadnego związku, to nie potrzeba było łamać sobie głowy nad tém, ani nakładać tak znacznej ceny za wprowadzenie rzeczy tej w użytek. Zdrugiej strony, czyliż choćby najgeometryczniej utworzone figury, z których się mają głoski formować, mogą zastąpić myśl ludzką w różnorodnych formach w jakich się ona wylewa? Wątpię ażeby przy najdowcipniejszych nawet kombinacjach, na tak przyrządzonym papierze dał się napisać choćby kilkowierszowy list. Czyliż więc nie lepiej po dawnemu poświęcić pół roku, a chociażby rok, na naukę pisania i obyć się bez pomocy tych wszystkich figur?

To cośmy tu zauważyli, stosuje się także i do ogłaszanych tu i owdzie uproszczonych sposobów nauki czytania, różnych metod językowych, pamięciowych i t. d. i t. d. Zwykle w takich rzaczach uczeń na niedokładne nauczanie się przedmiotu musi użyć dwa razy więcej czasu, aniżeli by go potrzebował przy zwyczajnym sposobie postępowania, albo też tak się mu wszystko powikła w głowie, że potrzeba wracać znów do początku i zaczynać naukę nanowo. Wszystkie owe pamięciowe metody, podobne są do metody tego nauczyciela wiejskiego, który spytałszy się uczniów jak się nazywał ojciec synów Izaaka patriarchy, a nie mogąc uzyskać odpowiedzi, zaczął im tłumaczyć że Izaak arendarz ma dwóch synów, Mośka i Fajwelka; że zatem gdy którego z nich się zapyta jak się nazywa ojciec synów Izaaka patriarchy, każdy odpowie bez zająknięcia: „Izaak arendarz.“

— No a teraz, kiedym wam to wszystko włożył jak łopatą w głowę, rzekł odwracając się do jednego z uczniów, który przez cały ten czas słuchał go uważnie, nie spuszczać z niego oka, powiedz ty jak się nazywa ojciec synów Izaaka patriarchy?

— Izaak arendarz, odpowiedział chłopak bez zająknięcia.

Otóż wszystkie te metody pamięciowe, historyczne i niehistoryczne, służą według naszego zdania do tego tylko, żeby uczący się Izaaka arendarza, brał za Izaaka patriarchę.

A cóż dopiero powiedzieć o tylu innych wynalazkach, które co chwila rozbrzmiewają w kolumnach dzienników! Przed niedawnym czasem pewien Francuz i pewien Niemiec zeszli się w genialnym pomysle wynalezienia języka ogólnego (*langue universelle*), który mógłby być dla wszystkich zrozumiałym i przez wszystkich używanym w stosunkach międzynarodowych. Chcieli oni odrobić dzieło Jehowy i znieść na zawsze tradycyjne pomieszanie języków przy budowie wieży Babel. Nie zgadzali się tylko w środkach jakich chcieli użyć dla doprowadzenia do skutku wielkiego swego wynalazku. Francuz zasadzał wszystko na piśmie; chciał stworzyć raczej uniwersalne pismo, aniżeli uniwersalną mowę; Niemiec zaś, wychodząc z tej zasady, że wszystkie języki pochodzą od jednego, że nawet semickie języki, podług nowszych odkryć, mają pewną wspólność z sylabowem chińskim narzeczem, a wszystko od wszystkiego łatwo da się wywieść, postanowił wrócić do źródła i odkryć kamień filozoficzny wszech narzeczy. Ale dotychczas ani jednemu ani drugiemu nie udało się jakos; dzisiaj zaś spotkali bardzo niebezpiecznego współzawodnika w uczonym, co ogłasza wynalazek depešz telegraficznych zrozumiałych dla wszystkich. To przynajmniej podobniejsze do prawdy, a może praktyczniejsze w użytku, chociaż nie będzie to już pismo, tylko umówione znaki.

Nie sama jednak tylko śmieszność wynika z tego rodzaju odkryć; są między niemi takie, co grożą nawet porządkowi społecznemu. Nie mówimy już o wszystkich wynalazkach narzędzi zniszczenia, które jeżeli dalej pójdą z tą samą co i dotąd szybkością, to nie potrzeba będzie ludzi do prowadzenia wojny, tylko staną naprzeciw siebie olbrzymie maszyny, z których jedna grozić będzie zniszczeniem drugiej. Ależ dzisiaj na przykład, przy nowych i coraz dokładniejszych sposobach kopiowania i przenoszenia na niezliczoną ilość egzemplarzy rysunków, pisma i t. p., żaden podpis bankierski ani kupiecki nie ostoi się. Więcej powiemy, przyjdzie może chwila że żaden pieniądz papierowy, asygnata, kupon, weksel, obligacja nie dadzą już pewności, bo za pomocą drobnej maszynki każde dziecko igrając będzie mogło tyścić takich z zadziwiającą wyrabiać dokładnością. Chyba wierzyć trzeba, że razem z wydoskonaleniem

w roku 1493 Maciej z Golańczewa biskup kujawski, co jednak z krytyką historyczną się nie zgadza, wiadomo bowiem iż pomieniony biskup umarł w r. 1368. Prawdopodobniejsze więc będzie zdanie znawców, iż świątynia ta jest od katedry, której budowa do XIV wieku należy, nierównie późniejszą, przynajmniej więcej zsiadłe jej formy o tém przekonywają. Presbyterium ma zakończone okrągło, a i to pewnie później przybudowane zostało. Wszelkie zakończenia okien i wnęk płaskawe i podobne ozdoby poprzecznej przedziałowej ściany. Ołtarzem obrócony jest ku wschodowi i ma na czele więcej szerszą jak wysoką wieżę. Cały pokryty włoską dachówką, a tylko kopuła wieżowa pokryta blachą; na środku dachu mała sygnaturka. Zresztą okopcone jego ściany, od strony presbyterium szczyt od góry stopniowo zębaty, dziwnego kształtu i bez żadnego porządku rzucone wnęki, nadają mu pozór większej starożytności niż ją ma w istocie. Wnętrze

Piszą że około tysięcznego roku ery naszej, spodziewając się końca świata przepowiedzianego, ludzie zupełnie na sprawy jego zubożeli. Daje się to czuć w dziejach dziesiątego wieku zawieszeniem wszelkiej działalności; w wieku XVIII przeciwnie ludzie widzą że ten ich świat się kończy, ale w szalach szukają zapomnienia katastrofy codzienną bliższą, widoczniejszą codziennie... W wyższych warstwach społeczności śpieszą używać bez rachuby, rzucając przez okna co się trafi pod ręką..... a tej stypie ostatecznej towarzyszy suchy śmiech obłąkanego, który z zaciętością bierze się do niszczenia.

Mniejsza o pozadane majątności na zbytkach bezmyślnych, o zmarnowane miliony, o rozproszone zapasy wiekowe i opróżnione skarbcie dziadowskie; gorszym jest to niszczenie w sobie charakteru i dostojności lat przeszłych, to dobrowolne zniżanie się i kłapanie w rynsztokach, gdy marmurowe łóżnice nie smakują.



KOŚCIÓŁ FARNY W WŁOCŁAWKU. (Rysował z natury Kozarski).

tych wszystkich materyalnych, zbawiennych i szkodliwych, środków, wzrośnie także i moralność publiczna, że nie potrzeba będzie kłaść hamulca na występki i zbrodnie, bo starczy na to moralne przekonanie o konieczności panowania dobra, o korzyściach wpływających z kroczenia drogą cnoty.

Ale, jak się zdaje, daleko, bardzo daleko nam do tego jeszcze!

KOŚCIÓŁ FARNY W WŁOCŁAWKU.

Wśród wspaniałych kościołów w Włocławku, pięknej i starożytnej katedry, oraz kościoła oo. reformatorów, a nawet dawnego kościółka św. Witalisa, stoi skromnie, nad samym brzegiem Wisły, pomiędzy domami, kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, zwany farnym. Według akt miejscowych wystawił go

jego szczupłe, ciemne, nawet tą ciszą swoją nie podnosi poważnego religijnego uczucia, bo pstruczyna bijąca w oczy z ubogich ołtarzy, dziwnie sprzecznie wygląda obok gotyckich kształtów całej świątyni, która oprócz tego nie zawiera w sobie nic osobliwego. Zewnątrz kościół otoczony porządnym murem, ma wcale piękną powierzchność.

POMYWACZKA.

OBRAZEK Z KOŃCA XVIII WIEKU,

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Z rysunkami Gersona).

Życie w końcu XVIII wieku, szczególnie w kraju naszym, miało barwę jakiej dziś próżnoby w nim szukać.

Kraj cały wre jakimś szaleństwem niepojętym, kobiety, młodzież i starce zarówno. Wśród tej orgii rzadki głos zwiastuje dni ciężkiej pokuty, ale nikt go nie słucha, pijani śmieją się z niego.... W głębi serc nawet znać że prorokowi wierzą, ale myślą że gdy fatalnego losu odwrócić nie można, resztki biesiady spożyć przynajmniej potrzeba.

Od peruk i fraków rozpacz bezpamiętna na jutro przechodzi do kontuszów i konfederatek, siwe podgolone czupryny dymią i stolica od nich się pali.

Na dzień tego zamętu są przecie i fasy saskiej epoki, pozostałości miłostek i bankietów, jest wszczepione bezprawie i pogarda starej obyczajności. Przypatrując się bliżej stanisławowskiemu czasom, znajdziesz w nich, jak w zakręcie rzeki która wszystkie śmiecie zbiera w jeden kąt, pełno nazmiatanych do kupy brudów odwiecznych, które razem na wierzch wystą-

pili co niemiara. Potrzeboby analizy chemicznej, aby ich pochodzenie oznaczyć...

W obyczajach nie może się wszczepić teoria, dezorganizacya widna wszędzie; mówią wszyscy o braterstwie wedle Rousseau, a zbliżywszy się do siebie, odpychają mimowolnie. Na trzy wielkie warstwy, wedle usposobień moralnych, dzieli się towarzystwo: na starą masę domorosłą, instynktowo poczuwającą że się przy dawnym zachowywać potrzeba i z niego dalej rozwijać; na młode szumowiny, pragnące postępu, ale rozumiejące go jako zupełną, do głębi sięgającą reformę, i naostatek pośrednie sfery, które z jednej strony rumieni jutrzienka jutra, z drugiej srebrzy blask wczorajszego księżycy, w pośrodku okrywa pomrok...

Miasta naturalnie przodują w tym położeniu, z którego sobie sprawy nie zdają; wioski upierają się przy dawnym porządku i widzą w nim zbawienie; magnateria ze szlachtą na wsi narzeka na zepsucie, w mieście z dworem śmieje się z zarozumiałych.

W pośród tego wiru istne ukazują się cuda: filozofowie bez Boga, wielcy panowie, którzy się przedzierzają w bankierów, królewscy kucharze chorujący na arystokrację, nieokresane gbury cisnące się do salonów i rozpieszczani wychowawcy pałaców szukający z nudów szczęścia pod zgrzebną odyżką. Chwilami wszystko się to miesza, płacze, zacięra, to znowu rozpada, dzieli, rozchodzą i wojuje.

Niema chwili któraby nie miała swojej, jak ówczesna, *teżyzny* między młodzieżą, tylko że każda z nich inaczej wygląda. Stanisławowska niepodobną jest wcale do saskiej. Przypatrzysz się zblizka takiemu Radziwiłłowi panie kochanku i księciu Józefowi, dostrzeżesz tu jedne odcienia, a bohater co zginął pod Lipskiem, sam do siebie w różnych dobach życia nie jest podobny.

Na jego twarzy, którą wizerunki ówczesne podają nam wesołą, ożywioną, częściej niż się zdaje osiadała gorycz znużenia i tęsknota nieprzemierzona, przecucie zgonu w pełni sił, tragicznego, nagłego... Staje on przed oczyma naszymi w tej burce tradycyjnej, z dumnie odwróconą twarzą, z pogodą na czole. Takim przecie nie był zawsze; po-

dźwignąć się umiał na placu boju, ale w samotnych godzinach, gdy spojrzał w nierozwikłaną przyszłość własną, gdy się stawał człowiekiem wobec siebie, na te powieki iskrzące się męztwem, występowała łza przezroczyta.

pościgniony młodzieży, książę Józef był w istocie nie-szczęśliwym, choć się w męczarniach uśmiechał; brakło mu wiary w życie i jak człowiek zruinowany, co bierze z kapitału, żył i on moralnym kapitałem swoim, bez rachuby na dzień jutrzejszy.

Na nieszczęście z tego życia, nad którym psychologiczne badanie byłoby niezmiernie ciekawym dodatkiem do rysu epoki, pozostały nam tylko ułamki, podania, legendy, a mało takich danych, któreby rozświetliły wewnętrzny stan duszy człowieka. Wszakże i z tych drobnostek, niekiedy charakterystycznych, dają się odtworzyć pewne momenta tej biografii, choć mniej dla historii znaczące, dla poznania człowieka i czasu ciekawe.

Tak wśród mglistego dnia w górach, gdy chwilami wiatr chmury rozedrze i słońce wierzchy ozłoci, widzisz je zawieszone gdzieś w obłokach, wśród tumanów, i po tych częściach całego olbrzyma Alp, śniegami wiekuistymi okrytego, domyslać się możesz.

Wyobraźnia dosnuwa obrazu okrytego płaszczem mgły nieprzebitój...

Trucizną która wyzierała serca i wypróżniała piersi młodych ludzi owego czasu, było zwątpienie i przedwczesne wywyżczenie się. Z tego to płynęła owa *teżyzna*, to rzucające się pozornie namietne, w istocie rozpaczliwe, na niemożliwe wyciśnienie z życia jakiegś upajającej treści. W epokach normalnych, to co żywot dać może, starczy człowiekowi i nasycy go; w podobnych przesileniach ludzie szukają poza krańcami możliwości upoju, dziwnych wzruszeń i rozkoszy. Ztąd idzie miotanie się gorączkowe, które w historii obyczajów zawsze znamionuje chwile ciężkich walk i przejścia.

Orgie XVIII wieku nie czem innem są, tylko takim upędzaniem się za stworzeniem czegoś nowego, czego życie zwyczajne dać nie może; żądano od napoju, od miłości dziwnych, od uczt sardanapalskich, by przeistoczyły warunki istnienia, by rozsz-

rzyły granice nieodwołalnie naznaczone człowiekowi... Chleb razowy życia nie starczył głodowi ogromnemu: wypiekano ciasto z manny, ze spadających z nieba kropelek rzadkich, nawet w ich niedostatku z błota ulicznego...



KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI. (Podług wizerunku Grasiego).

Ale się wstydził przed światem tej słabości ludzkiej, i w ulicach Warszawy pędził cwałem, powołując się sam, z pogardliwym śmiechem pustaka, szalenie szczęśliwego człowieka... Ulubieniec kobiet, wzór nie-



Ranek na Starém mieście w końcu XVIII wieku.

I kończyło się na tym, że po niestrawnym pokarmie głód był większy jeszcze, choroba sroższą... szła stokroć straszniejszą...

Książę Józef był człowiekiem swęj epoki; przedstawiał może wybitniej niż inne indywidualności, jęj stronę piękną, szlachetną; zarówno poryw jęj ku ideałom i chętki chorobliwe, pragnienia sercowe i szaleństwa zmysłów rozdrażnionych. Zawsze poznawszy wszystko co życie dać mogło, nie smakował już w niczém i szukał czegoś więcej, sądząc że pragnienie nietylko dowodzi gorączki człowieka, ile istnienia napoju. Napróżno piękne panie owych czasów usiłowały go stałej przywiązać do siebie; wabiła go wszelka nowość, zaglądał w oczy kaźdej nowoprzybywającej, lecz prędko jednostajność wrażeń odpychała go, nudziła forma taż sama, w głębi to samo wrażenie, te same powtarzane codziennie słowa, płochoci jednakie... Te setne edycje jęj książki już po okładce mógł poznać i czytać ich nie pragnął. Życie nie umiało mu dać nic nowego... Prostota, serce szczere, świeżość wrażeń byłyby go nawrócić mogły, ale gdzież je spotkać miał, wśród tęj sceny pełnej wyuczonych od pie-luszek aktorów?

Po dniach spędzonych na rozrywkach nie rozrywających, na niespodziankach spodziwanych, następowały wieczory do dni podobne, a po powrocie do domu, długie często godziny rozmyślań i apatii...

Aby pojąć i samego księcia Józefa i tę społeczność, której on był wytwornym owocem, potrzebaby się jęj przypatrzeć zblizka i beznamietnie, oczyma dziejopisa niemającego ojczyzny; pojedynczo wzięta kaźda postać tęj społeczności wydaje się dziś dziwaczną i niezrozumiałą, zblizone i zestawione w tę całość jaką tworzyły niegdyś, tłumaczą się wzajemnie. Dla-tęgo nim opowiemy podanie, któreśmy z ust starca, co na część historii tęj patrzył, słyszeli, musimy rzucić okiem na Warszawę w tęj epoce.

Magnaci, dorobkowicze, nawet możniejsza szlachta porwana wirami szalała, wiedząc że gmach się mógł roz-trzaskać nad jęj głową; im loskot upadku straszniej-szym był, tęp głośnieji nakazywano grać muzykę.

W przeddzień tryumfu wyrachowanego i pewnego, nie byłoby weselej jak naówczas w stolicy. Wszyscy cudzoziemcy, którzy w owych latach zwidzali ją, zgodnie malują Warszawę i jęj ludność jako najwe-selsze towarzystwo w świecie. Ci nawet co tu przy-bywali z najożywieńszych gródów Zachodu, ude-rzeni byli niezmierną gorączką która tu panowała.

Bale następowały po balach, noce spędzano za sto-likami gry, dnie na śniadaniach i podwieczorkach, taniec, ten wyraz szaleń, najulubieńszą stał się rozryw-ka. Małe dzieci wprawiano doń, tak jak niemowlętom dają matki napój usypiający. Starzy i posiwiali go-rączki szukali u zielonych stolików, lub w oczach mnóstwa ślicznych bogiń, których płochoci nie zrażała wcale, bo cały ten świat z nięj sobie życia robił praw-dwidło.

Małżeństwa zawierały się z przewidywaniem roz-wodu, zrywały po kilku tygodniach, często wiązały znówu, a trwając nie były węzłem żadnym, stawały się wygodną formą. Najściślejsze związki fantazyi wy-kwitały na nich, jak orchidee na zgniłym pniu dębowym.

Książę Józef, jak większa część młodzieży ówczes-nęj, pochwycony falą, zawczasu przestał być młodym; ta spiekota, jak afrykańskie słońce, przedwczesną spró-wadzała zgrzybiałość. Ale w szlachetnej jęj piersi utrata złudzeń młodych i tęj idealnego świata, który człowiek z sobą przynosi z lepszej ojczyzny przed-ziemskiej, nie pociągnęła za sobą rozczerzowania i chłodu, tylko tęsknotę i jakieś o społeczeństwie zwąt-pienie.

Serca ciasne w takiem położeniu i boleści nie wi-dzą nic poza niemi, wątpią o człowieku; szersze bo-leja nad czasem, mają nadzieję w przyszłości.

W tych chwilach samotności i rozmyślań, gdy po wirach balu i szale reduty powracał znużony ca-łodzienną wrzawą i nadaremnią pracą szukania roz-koszy w pustych jęj łupinach, książę Józef padał na sofę w saloniku, zakrywał twarz rękami i cierpiał walcząc z sobą, by do ostatka wiary nie stracić. Nie-bezpieczeństwo było w istocie wielkie; poczynawszy od stryja, którego pojąć nie mógł, a przecież kochał musiał, aż do najdalejniejszej z tych pań, której dłoń czuł drżącą w swym ręku, gdy z nią w szalonym tańcu sale przebiegał, której głos cichy szeptał mu dzisiaj to, co wczoraj przyrzekał innemu, a jutro miał jeszcze innemu poprzyśiądź; od starego kuzyna domu

co godzinami był dyplomata nierównanym, a indziej młokosem bez rachuby; wszystko i wszyscy składali się na poniżenie w oczach jęj człowieka.

W tych dniach życia przecie, w tęj dobie którą przebiegał książę Józef, jedna szczególniejsza istota uo-sabia w sobie ludzkość, przedstawia jęj najjaśniejszą stronę. Jest nią kobieta. Młodzieniec widzi w nięj wybrańca Boga, przeznaczonego by resztki uczucia i serca wyratował z potopu; jeśli w tęj istocie nie znajdzie ich, wątpi łatwo o reszcie.

Książę Józef, otoczony tym światem płochych lalek w fryzurach, malowanych jednemi barwy, nasłuchaw-szy się ich szczebiotu jednostajnego, sto razy zdra-dzany z uśmiechem, pociągany kłamstwem i próżno-ścią, naostatek pytał już się niespokojnie, czy miłość i wiara nie są próżnemi tylko słowy, przeznaczone-mi byna ziemi latały jak anioły, nigdy jęj nie tykając sto-pą. Wszakże po zdradach tyłu nie przeklął, jak dru-dzy, człowieka; uchwycił się tęj myśli, że na dnie osiadła cnota, prawość, szczerość.

Było to jesienią, jednego z lat następujących po sej-mie czteroletnim, który nie przerwał życia rozszalone-go większości. Warszawa wyglądała nadzwyczaj świet-nie i niezrozumiale wesoło. Pięniadze zdawały się pły-nąć ryszotkami, tak je nierozważnie rzucano na wszyst-kie strony; pracowity świat wielki nie mógł wystar-czyć balom, wieczorom, piknikom, redutom, spacerom, kartowym stolikom i rozrywkom, którym napróżno sta-rano się coraz nową nadawać barwę, a były jak pie-kło jednostajne i nudne. Nowi ludzie bawili się niemi kilka tygodni, jak człowiek który wchodzi w gorącą kąpiel i czuje zrazu trochę ciepła, ale po chwili drżąc zaczyna w tym ukropie. Książę Józef, jak wielu jęj rówieśników, był niesłychanie smutny; patrząc na tę-go Apollina w całym blasku męskiej piękności, które-go czoło osnuwała mgła jakaś nierozbita, żal serce ścisnął, tak widocznie cierpiał, choć się uśmiechał. Wypełniał on ściśle obowiązki swego stanu, mozol-ne, choć pozornie bardzo rozkoszne, a bliżej się weń wpatrując, przychodziło na myśl że Dante nie wyczer-pał wszystkich kar w swym piekle, nie umieścił w ni-m kłamanego szczęścia uwięzionego laura-mi i różami, z tajemną raną w piersi zakrwawionej i zazdroścąciami dokoła.

Tymczasem pół świata zazdrościło mu męczarni, a gdy w swém *whisky*, zaprzężonem ośmiu karemi koń-mi, przelatywał Krakowskie przedmieście, mając po bokach Wielohorskiego i Kościuszkę, lub na prze-pysnym karoszk, w twardej od srebrnych haftów kurtce pędził do Mokotowa, na Wolę, do Jabłonn, stawiali ludzie mówiąc sobie po cichu: Co to za szczę-śliwy człowiek!

Tęgo dnia... książę Józef nie próżnował od rana, chociaż późna była jesień, ale pora, jak to się często w Warszawie trafia, przesliczna; wstawszy więc ru-szył na przejażdżkę ku Willanowu. Po powrocie był u króla na chwilę, odwiedził Ignacego Potockiego, żeby trochę w jęj towarzystwie spoważnić, oglądał po-tém angielskie konie wystawione na sprzedaż, które młodzi Teperowie za niezmiernie wysoką kupili cenę, od-dał kilka wizyt pięknym paniom, próżno go uśmiecha-mi zatrzymującym, jadł obiad długi i niesmaczny u Prota Potockiego, nasłuchawszy się do przesyłu o pro-jektach przemysłowych i handlowych, potem wbiegł do kilku domów wieczorem, jeździł do teatru, aby się na nim wyziewać dowoli, był na reducie w Radzi-wiłłowskim pałacu, na prośzonej kolacyi kawalerskiej u Branickiego, i znużony powrócił do domu, jak po najmozolniejszym trudzie. Z całego dnia zostało mu wspomnienie nieograniczonej tęsknoty.

Siadł na sofie, jak zwykle, i zamyslił się głęboko...

— Jest to życie niemożliwe, rzekł nareszcie w du-chu, jeszcze rok, a człowiek zgrzybieje i zgłupieje... Wir ten nie daje myśleć, szła ten nie pozwala oprzym-to-nić. Stać się pustelnikiem wśród tęj ciżby? ogłoszą za szaleńca... uciec? tak! byłby to jedyny niezły środek, ale dokąd?

Al! serce! serce, dodał, czemu ty mnie nie poratu-jesz?... czemu nie uderzysz tak silnie i głośnie, aby ten bałas zagłuszył?

— Do kogo? spytał się z uśmiechem... i myśl prze-biegła wszystkie piękności dworu i stolicy, szydersko zdzierając z nich urok wdzięku. Książę Józef widział je niemal wszystkie tęgo dnia w łóżach teatru, i do kaźdej z tych twarzy co się ku niemu zwracały, pa-mieć przypięła historią, która jęj urok ojmowała... Ta jest już z dziesiątym ulubieńcem, tamta z trzecim mężem, tamta z piętnastym przyjacielem, nie licząc nieprzyjaciół których kochała po chrześcijańsku i przez uczucie obowiązku. Z takimi myślami po północy

położył się książę Józef, ale nie usnął; rozgorączko-wany dniem, rozmarzony myślą własną, rzucał się, marzył, aż gdy na dzień się już zbierało, wstał, za-dzwonił niespodzianie na kamerdynera, który nieprę-dko nadszedł dosyć przestraszony, i kazał sobie przy-gotować ubranie. Francuz był posłuszny, ale widząc że książę ani wierzchowca, ani powozu nie żąda, nie wiedział co myśleć.

Po chwili książę Józef, zostawując go w tępzdumie-niu, ubrany po cywilnemu, wyruszył z pałacu na miasto.

Ranek był rzadkiej piękności i mgła nawet, która prawie zawsze u nas pogodzie jesiennęj towarzyszy, już się wiatrem gnana rozwiewała; niebo, choć blade ale czyste, miało ten ton łagodny północy, który się w taką z kolorytem pejzażu zlewa harmonią. Gdzie-niegdzie białe bawełniane przelatywały po niém oblo-czek, ozłocony wschodzącym słońcem, które otaczały rumiane pasy dalekich tumanów. W powietrzu była cisza, na ziemi spokój, i ledwie dający się czuć po-wiew zachodnio-południowy opędzał z drzew resztki liści, które się jeszcze po końcach gałęzi trzymały.

W ulicach miasta ujrzał książę to co na nich rzad-ko widywał, ludność różną od tęj która we dnie się po nich kręciła, wiejską, przedmieściową, pracowitą, ubogą. Szły z Pragi fury z drzewem, z jarzynami, z zapasami różnemi. Kobiety z ciężarami na plecach, mężczyźni z piłami i siekierami... po kościołach od-żywały się ranne dzwonki mszy cichych, na które cisnęli się wieśniacy. Gdzie-niegdzie wśród tęgo zale-wu przybyłej ludności, przepływała i miejscowa uboż-sza, mieszczanie w kapotach długich z laskami, po-ważnie kroczący na prymary, jęjmoście staruszki, chcące się tanio zaopatrzyć do domu, przekupnie i przekupki, ostro targujące się o nabycie tęgo, co wkrótce jaknajdrożej sprzedawać mieli, i młodzież płci obu z najbiedniejszej klasy, wybiegająca po za-pasy gospodarskie, wodę, mleko, świeżą bułkę do piekarza.

Książę Józef przypatrywał się z ciekawością tęp-widokowi nowemu dla siebie, który go przyciągał żądzą poznania utajonych sprężyn, poruszających nieznanym światem.

Im głębiej spuszczał się książę ku Pradze, odcho-dząc od środka stolicy, tęp otaczająca go ludność inny przybierała charakter i mniej w nięj czuć było miasto. Naostatek szedł aż do brzegu rzeki, gdzie już prawie było pusto... Ubogie domki rybaków, szychy drzewa, czołna popruchniałe, rozwieszone sieci, cha-lupki z desek pozbijane i tuż szeroko rozlana Wisła płowa, spokojna, choć groźna... a na nięj w dali parę ciemniejących czołenek...

Tu cisza była uroczysta... książę oddawna takiego nie zakosztował spokoju.

Życie całkiem mu się tu inaczej wydało. Tam żkąd przychodził było ono teatralnem przedstawieniem dra-matu, napisanego bez talentu, odegrywanego rutyną, częms kłamanem i sztucznem; tu widział je praw-dziwem, poważnem i wśród nędzy i walki wspania-le, majestatycznie pięknem. Na czołach tych ludzi była troska, ale obok nięj siła i wiara w tę siłę człowieka, która tam wyżęj czuła się wyczerpaną. Praca uszlachetniała tu ruch kaźdy... a mimo nięj niepe-wność jutra ożywiała, budziła, nie dała usnąć gnuś-nie.

Gdy książę usiadł na kłodzie nad brzegiem i po-czął się rozpatrywać w otaczającą go obrazie, z cha-ty dosyć biędnej, nieopodal stojącej, której drzwi się otworzyły powoli, ukazała się postać w bieli...

Była to może piętnastoletnia dziewczeczka, z blond włosami rozpuszczonemi, bo je właśnie zgarniała i cesała, w koszulce i spódniczce, bosa, szczupła, drob-na, ale przesliczna. Małeńka chusteczka okrywała jęj ramiona od ранnego chłodu, z którym zresztą oswo-joną była widać, bo się wychyliła za próg i stała przypatrując się niebu, próbując powietrza...

Nie postrzegła ona księcia, który siedział, osłonięty wysoką szychtą drzewa, naprzeciw światła, i nie tęp jęj w tęj tualecie na podwórzu nie przeszkadzało. Zbierała obfite, piękne blond włosy, rozczesywała je, plotła, a niekiedy drobne jęj usteczka różowe, z pod których białe patrzyły zębki, otwierały się pozięwa-niem, jakby resztki snu odpędzała od siebie. Parę ra-zy zdawała się przysłuchiwać czemuś wewnątrz cha-ty i uspokojona powracała do swego stroju... Przy drzwiach stało wiadro z wodą, poczęła się obliwać starannie i wycierać twarz i ręce grubym ręcznikiem. Potém znikła... i powróciła znówu z gorsekiem, który sznurowała powoli. Usta jęj w czasie tęgo zajęcia po-ruszały się powoli, mówiła pacierz poranny... Niekie-dy ręką uderzała się w piersi, to znówu przyklekła

i pochyliła głowę, wreszcie narzuciła na siebie sukienkę pstrą i poczęła ją starannie obciągać...

Wszystko na niej było niezmiernie ubogie, ale bogatą była w ten wdzięk młodości, którego nie zastąpić nie może. Książę wpatrywał się w nią, po twarzach wybielonych, wyróżzowanych, wymuskanych pań stołecznych, jak w kwiatek polny, rozkwitły na utostroniu.

Kwiatek był w istocie uroczy; najwybredniejszy znawca musiałby mu się zdumieć. Piękność rysów nie jest wcale, jak sądzą, wyłącznym udziałem tych klas społeczeństwa, w których pokoleniami wydelaconą krew, wydaje arcydziela formy, naprzemian z poczwarnymi monstrami. U ludu od kolébki zmęczone dziecię, często traci kształt wdzieczny i barwę młodości, ale jeśli przetrwa pierwsze życia zapasy, często też wyrasta na Wenus z Milo lub Antinousa... I naówczas siła a energia tej piękności, przechodzi blade kwiatki arystokratycznych cieplarni. Wychowanie też wpływa wiele na wyrobienie w nich czegoś fałszywego, sztucznego, sztywnego, gdy prostota obyczaju uposażuje ludowe wdzięki. Jest w nich coś jakby z marmuru kutego; arystokratyczne piękności podobniejsze są do figurek z cukru i ciasta.

Dziewczę, któremu książę Józef przypatrywał się z takim zajęciem, że oczów od niej oderwać nie mógł, nie było może tak regularnie pięknym, ani tak potężnie zbudowanym, by je rzeźbiarz wybrał za wzór sobie, ale w szczupłych kształtach jego sił dziecinnych, napół kobiecych, rozlany był wdzięk naiwny, nieporównany. Nóżki jej, ręce, choć silne i spracowane, ale w wisłanej wodzie wypłukane codziennie i bieluchne, piersi szczupłe, główka drobna, oczy niebieskie, uszko małe, nasek prosty i nieposzlakowanego kształtu, składały się na obrazek przypominający fantazje Greuz'a, i niektóre szczęśliwsze pasterstwa Boucher...

Była to właśnie chwila w której pastuszek, lud i wioskowe życie, pojęte po teatralnemu, były w wielkiej modzie u świata... Książę Józef napatrzył się ich na parawanach, wachlarzach, naddrzwiach i rycinach, ale mu się nie trafiło nigdy w żywym świecie spotkać wzór dla Greuz'a... Był nawet przekonany że Boucher i Watteau, że sam rozlany Greuze są wielkimi kłamcami, że przebiegają często wielkie panie za pasterki... Obrazek który ujrzał tak nagle w ramach drzwi ubogiej chatki, zachwycił go.

Dodajmy że książę Józef był nieco marzycielem i trochę fatalistą... to wyjście ranne, jakby mimowolne, ta siła która go tu przyciągnęła, ukazanie się dziewczęcia, poddały mu jakąś myśl przeznaczenia. Wczoraj upominał się u świata i losu o coś co by mógł ukochać, dziś zjawiała się przed nim istota śliczna, dzika, bo właśnie dziki i prości pragnęli. Nie było w tym coś fatalnego? Odezwał się do losu, los mu odpowiadał: chciałeś, oto jest.

Myśl mu poddała wczorajszą tęsknotę i postawiła obok niej to zjawisko niespodziane.

Gdy tak marzył, dziewczę ze drzwi znikło, a książę, namysliwszy się nieco, nie bez pewnej obawy, z której sam się uśmiechał, wstał i powoli skierował się ku ubogiemu domkowi. Powierzchność jego zdradzała stan mieszkawców bardzo biedny; chatka dosyć stara, na małej podniosłości brzegu wybudowana, była szczupła i nadniszczona. Dach na niej cały porastał zielonemi kupkami mchów, które widocznie rozszerzając się zjadły zezerniałe gonty, komin był wyszczerbiony i okopcony...

Ściany trochę wpały w ziemię. Jedne drzwi, te właśnie w których mu się dziewczę ukazało, prowadziły do wnętrza. Książę zawahał się chwilę nim próg przestąpił, myśląc czem się wytłumaczy z odwiedzin, ale po krótkiej rozwadze, uległ pokusie.

Sień do której się wśliznął była pusta, pełna przyborów rybackich, długich węd, zezerniałych sieci i węćwierz, jedne drzwi wiodły w prawo do mieszkania. Książę Józef zapukał do nich, nie śmiejąc się wpięrać do środka bez pozwolenia.

— A no! wejdźcie! odezwał się głosik ze środka, miły, cieniuchny, dziecinny. Cóż to wam przyszło do głowy palce sobie obijać o drzwi?

— No zobacz, bo może to kto obcy, przerwał głos drugi starszej kobiety.

W téj chwili drzwi uchylone roztworzyły się powoli, ale mimo tej ostrożności książę Józef dostał niemi w głowę i uchylić się musiał. Dzieweczka która je otworzyła, stanęła zdziwiona na widok bardzo pięknego nieznajomego pana, przypatrującego się jej z równą jak ona jemu ciekawością. Oboje poczerwienieli. Mniej to dziwne było ze strony dziewczęcia, ale książę, dawno odzwyczajony od pałacego rumienia,

uczuł go na twarzy jakby przynosił mu nanowo stracone lata dzieciństwa. Był to gość niespodziany...

Domyśliła się dziewczeczka że ten pan omyłką chyba do ubogiej chaty zajrzeć musiał i trzymała drzwi ciągle, nie chcąc go puścić do środka; przez tę chwilę niemego przypatrywania się, ona miała czas przeczuć w nim jakąś istotę wyższą, on rozplomieniał się, marząc że trafił na ów ideał prostoty i serca, który dotąd tylko w złych francuzkich romansach, niedołącznie malowany spotykał...

— Ale czegoż pan chce? odezwało się dziewczę, bo na matule ciągnie chłodne powietrze.

— Ja? puścić no mnie, to wam powiem, odparł książę i uchylając drzwi przytrzymywane, wszedł do izdebki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

9 października.

W dniu 3 b. m. arcyksiążę Maksymilian przyjął w zamku Miramar deputację meksykańską. Po wysłuchaniu przemowy prezesa deputacji, arcyksiążę oświadczył, że wyrażone przez zgromadzenie notabłów życzenia poruszają go do głębi serca, że pamięć i uczucia Meksykanów ku rodzinie Karola V pochlebne są dla całego rakuzkiego domu. Następnie uczynił wzmiankę o zaszczytnych celach cesarza Francuzów, arcyksiążę tak się wyraził: „Oświadczyć muszę, że monarchia nie może być przywróconą na trwałych podstawach, dopóki cały naród w swobodnym wyrażeniu swęj woli nie potwierdzi wyboru stolicy. Tak więc od rezultatu głosowania całego kraju czynię zależnym przyjęcie ofiarowanego mi tronu.“ I nieco dalej: „Jeśli otrzymam rękojmię trwałej przyszłości, jeśli ku mnie zwróci się ogólny wybór szlachetnego ludu meksykańskiego, gotów jestem, za zgodą dostojnego naczelnika naszej rodziny i ufny w opiekę Wszechmocnego, przyjąć koronę.“ Arcyksiążę zakończył temi słowy: „Chciejcie zawiadomić współobywateli o tém szczerém mojem postanowieniu i przyłożę się do tego, aby naród wyraził swe życzenia względem rządu jaki pragnie ustanowić w kraju.“

Okazuje się więc że arcyksiążę nie jest bezwarunkowo przeciwnym myśli założenia dynastji i wskrzeszenia państwa Montezumy, ale niedowierza zdaniu notabłów, działających pod wpływem francuzkim. Ten punkt widzenia rzeczy jest istotnie trafny i oparty na prawdziwym stanie społeczeństwa meksykańskiego.

Dzienniki nie przestają jeszcze zajmować się Szlezwigiem. General Corresp. zamieściła groźny artykuł, w którym dowodzi że nie już Danii od egzekucji związkowej uwolnić nie może. Groźba ta mogłaby istotnie nabrać wielkiego znaczenia dla Danii, gdyby za tém mocarstwem nie widać było innych wielkich mocarstw. W rzeczy samej, zapewniają że w d. 29 z m. lord Russel przesłał Związkowi krótką lecz energiczną notę, w której oświadcza że Anglia uważać będzie zajęcie Szlezwigu i Holsztynu przez wojska niemieckie jako zamach na całość i niepodległość monarchii duńskiej, a tém samém za naruszenie równowagi europejskiej. Zdaje się więc że chwila egzekucji bardzo być może odroczone, zwłaszcza przy powolności Danii do ustępstw nieprzekraczających granic możliwości.

Przewidywane przez nas starcie separatystów z federalistami nastąpiło w d. 41 z. m. General Brakston-Brigg, zająwszy silną górzystą pozycję pod Ross-ville, małą wioską na granicy Stanu Georgii w pobliżu Chattanooga, napadł i zwyciężył w krwawej dwudniowej bitwie cały korpus północny generała Rosencranza. Straty federalistów wynoszą do 12,000 poległych i ranionych, 20 dział i 2500 wziętych do niewoli. Separatysty stracili do 5000 ludzi. Czytając raporta waszyngtonskie, zdawałoby się że to separatysty pobici byli na głowę, ale rzeczywiście tak nie jest; wiadomości bowiem powyższe ze wszystkich stron potwierdzone zostały. Oręż separatystów i na innych punktach stalego doznaje powodzenia. General Beauregard do dziś dnia trzyma się na ruinach Charlestonu, a znawcy uważają obronę tej twierdzy za jeden z najdzielniejszych faktów w dziejach wojskowych. Ostatnie depesze wykryły także trzy porażki doznane przez północnych, o których dzienniki zwyczajowo nie wspominają wcale. Wiadomo że trzy dywizje federalne wyprowadzono z Nowego Orleanu do Teksas. Otóż pierwsza, pod dowództwem generała Franklina, rozbita na brzegach Sabiny, cofnęła się po utracie dwóch kanonierek; druga pod generałem Herron

rozpędzona na brzegach rzeki Czerwonej pod Morganza; trzecia zaś, na czele której stał generał Washburne, nie mogła przecisnąć się przez Berwick's-Bay i wróciła na pierwotne stanowisko. Wieść o uznaniu separatystów i przymierzu z Francją okazała się fałszywą. Mówią że separatysty zaciągają chcą we Francji pożyczkę 400 milionów franków.

Walka na San-Domingo nie skończona. Szczupłe siły hiszpańskie, osaczone przez powstańców, oczekują na posiłki. Prassa madrycka przypisuje te wypadki intrygom Stanów Zjednoczonych. Pięć batalionów piechoty, pod dowództwem generała Santa-Anna, ciągnie na odsiecz garnizonowi.

Ostatnie depesze. Londyn 6 października. Times mówi: „Arcyksiążę wiele spodziewa się od Francji i troszkę od Anglii. Myliłby się kto by sądził że Anglia zarówno z Francją popierać go i wspomagać będzie w Meksyku.“

Turyń 5 października. Ambasador angielski sir Hudson przyjętym został przez króla na pożegnalnym posłuchaniu. Jego następca Sir Elliot przybędzie na początku miesiąca. Z Neapolu donoszą o wzroście bandytyzmu.

Paryż 8 października. Cesarz Napoleon przybył do Saint-Cloud w d. 6 października. Nazajutrz odbyła się rada ministeryalna pod prezydencją cesarza, do której wezwany był także hr. Walewski.

Wiedeń 5 października. Dzienniki tutejsze widzą w odpowiedzi arcyksięcia grzeczną odmowę, nic więcej. Gener. Corresp. twierdzi że arcyksiążę tém mniej mógł przyjąć ofiarę junty meksykańskiej, że inne warunki są jeszcze niepewne, mianowicie rzeczywiste poparcie mocarstw morskich.

Londyn 5 października. Król Helenów przybył dziś o godzinie 6 wieczorem. Przyjmował go książę de Galles.

SPRAWY SPOŁECZNE (1).

Naukami społecznymi zwiemy te nauki, których zadaniem badanie bytu społecznego, warunków jego ustroju i sposobów dalszego jego duchowego i materialnego rozwoju, a tém samém wykrycie praw i środków mnożenia sił i zasobów narodowego bogactwa. Ekonomia polityczna, statystyka, nauka o finansach i administracji wchodzą zatem w zakres owych nauk społecznych. Pierwsza nawet, w najogólniejszym znaczeniu brana, dalsze w sobie pochłania, śledząc bowiem warunki dobrobytu i podając środki do jego utrwalenia i podniesienia, zarazem wskazuje w statystyce zamożność kraju, w nauce o finansach sposoby zwiększania téj zamożności, a w nauce administracji sztukę najbardziej odpowiedniego tym celom zarządu krajem. Na drodze poszukiwań tych warunków dobrobytu społecznego, ekonomia wynajduje nowe zasady i te za stanowcze podaje pewniki, lub stwierdza odwieczne prawdy jakie rządzą ludzkością. Prawdy te każde społeczeństwo od zawiązku swego istnienia wytwarzało w swém łonie i wprowadzało w życie i ustawy, słowem w cały organizm, jak tego znajdujemy ślady w najdawniejszych zabytkach ich kultury, religii i prawodawstwa, a cokolwiek napotykaemy żywe dowody w dziś bytujących instytucjach; każde bowiem społeczeństwo miało na celu podwójną tych instytucji osłaniać swobodę, własność i rodzinę, owe kamienie węgielne bytu narodowego. W téj powadze, w tém uświęceniu najważniejszych prawd i zasad społecznych, leży tajemnica owych tysiącznych, wzajemnie krzyżujących się nici, jakimi splatają się i wiążą nauki społeczne z prawnymi. Prawo bowiem, jako najwyższa, najdawniejsza prawda, góruje ponad wszelkimi instytucjami społecznymi, czyto w grzech przeszłości zagrzebanymi, czy w pełnym kwitnieniem rozwoju, czy też dopiero w bujnym zawiązku świetnej rokującami przyszłości. W ustawach Manu czy Zoroastra, w przepisach starego zakonu, w prawach XII tablic, przeświecają już niektóre prawdy społeczne w tych właśnie nakazach i zakazach, co strzegąc życia i własności pojedynczego człowieka oraz świętości jego rodzinnych stosunków, utrwały podstawy budowy społecznej. Czują i baczną rozciągało społeczeństwo nad swemi członkami opiekę, lecz w zamian za takową wzajemną żądało usługi, więcej nawet, poświęcenia, ofiary z życia i majątku; wymagało bowiem zbrojnego ramienia do odparcia najazdu

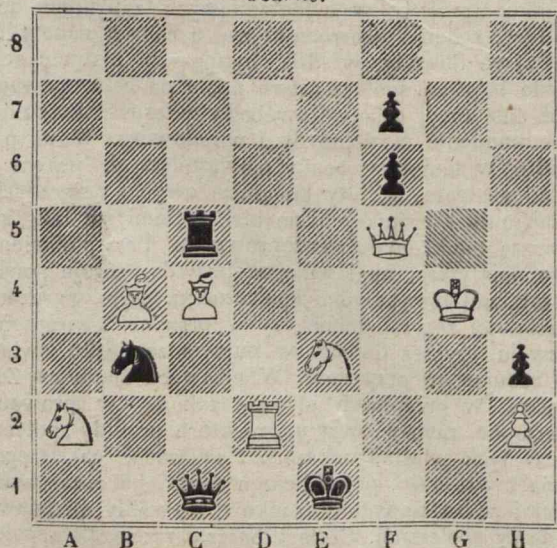
(1) Pod tym ogólnym nadpisem zamieszczać będziemy w pewnych przerwach artykuły dotyczące najważniejszych kwestyj bieżących, pisane, ile przedmiot pozwoli, zajmująco i przystępnie.

Jeżeli wymagania publicznych powinności od początku istnienia społecznego przetrwały aż do dziś, ulegając jedynie zmianom, w miarę rozwoju i wykształcenia społeczeństwa, a wyrobiły się tylko odpowiednio temu pojęcia tych powinności si wydoskonalały się moralność obywatelska i publiczna, przetrwały się zato i przeznaczyły użytek owęj daniny

ZADANIE CLXXIV.

Samomat za piątým posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 173.

Biate.

Czarne.

- 1) A 6—E 6 1) F 7—E 6 biorą. (a)
2) E 4—F 4 2) H 6—F 7.
3) G 7—G 8 (królowa † i mat.)
(a) 4) H 6—G 8.
2) E 6—E 7 biorą †. 2) G 8—E 7 biorą,
3) G 7—G 8 (królowa) † mat.



...Zbięrała obfite, piękne blond włosy, rozczesywała je i plotła....

społecznej. Dziś, jak przed wiekami, każdy obywatel gotów jest życie i mienie poświęcić dla obrony społeczeństwa, lecz nie oddaje już krwawo zapracowanego grosza, dla nakarmienia rozwiązłych dworzan lub zgłodniałych psiarni.

Potrzeby krajowe z postępem wieków i wyobrażeń zwiększały się i urozmaicały, aż wyrosły w olbrzymie budżety; na ich też pokrycie rosły nad miarę i publiczne ciężary i opłaty. Od powinności wojskowej uwolnić się można, daniny w naturze ustały, ale za to podatkiem opłacamy siłę zbrojną, kapłanów, nauczycieli i sędziów, drogi i kanały, mieszkania i pokarmy swoje. Każdy w miarę możliwości ponosi ciężary publiczne i składa się na budżet krajowy, wnosząc nie tylko podatki stałe, ale i niestałe, pod postacią cel, stempli, monopolów i opłat konsumcyjnych.

Nie na samém wszakże uiszczaniu podatków i posłuszeństwie prawu zasadzają się obowiązki obywatela, winien on jeszcze przykładać się do podniesienia pomysłowości ogólnej i przyczyniać się do duchowego i materialnego rozwoju rodzinnego państwa.

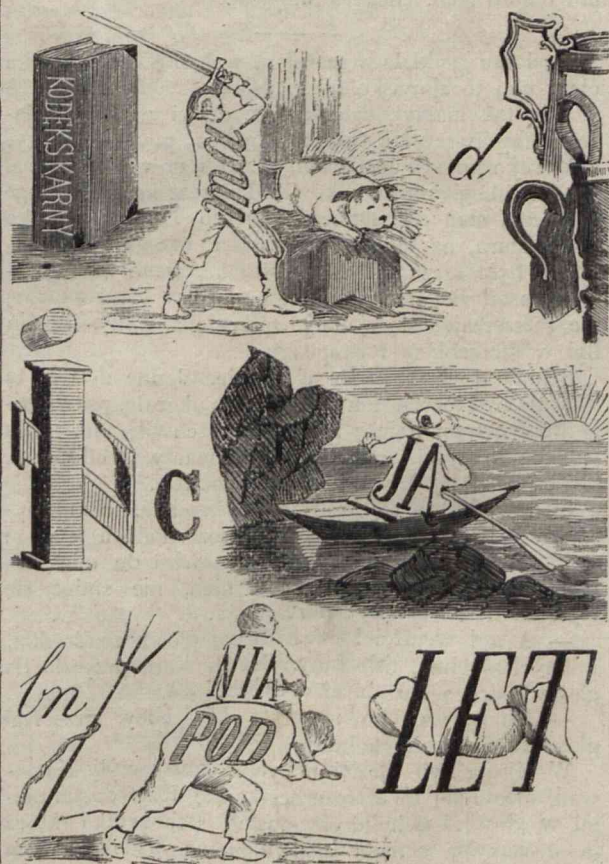
Pracując na własne i rodziny utrzymanie i skrzętnie gromadząc zasoby materialnego bogactwa, zwiększamy zarazem sumę narodowego dobrobytu. Kształcąc umysł i serce, zbogacając naszą wiedzę, przymnażamy skarbnię narodowego ducha, podnosimy moralność i inteligencyą całego narodu. Oprócz tych trudów na chleb powszedni i gwoli mnożeniu duchowego bogactwa na polu oświaty i przemysłu, oprócz opieki nad moralnością publiczną, winniśmy czuwać jeszcze nad bezpieczeństwem wewnętrznym i zewnętrznym, aby każdemu sprawiedliwość była wymierzana, aby każdy we władzy znalazł obronę i podporę i aby godność państwa i po za jego granicami szanowana była.

Ustosunkowanie tych powinności obywatelskich równie do zadań społecznych jak moralnych należy, gdyż niemniej ścisły związek zachodzi między moralnością a ekonomią polityczną, jak między tą ostatnią a nauką prawa. Dobry byt bowiem przyczynia się do podniesienia moralności i utrwalenia poszanowania dla prawa, kiedy nędza wtrąca w przepaść występku i podlega do gwałcenia ustaw. Moralność w wzniosłych swych zasadach szuka osłody i pociechy dla cierpień społecznych, jak ekonomia w swoich badaniach środków dla zablźnienia ran i zapobieżenia klęskom. Jedna i druga zajmuje się ludzkością, na straży której staje prawo. Moralność, wszeźwiając zasady cnót domowych i publicznych, wskazuje i ułat-

G ł ó w n é m
wszakże zadaniem ekonomii politycznej jest zapewnienie najwyższych korzyści z pracy i posiadanych zasobów, przy obniżeniu ceny pierwszych potrzeb do życia i ciężarów podatkowych. Zmiany praw i stosunków międzynarodowych, ku temu celowi zmierzają, odwiekowe wysiłenia ludzkości i wszelkie jej prace ku temu dążą. Ludy i ludzie, poza obrębem wyższych celów słowami Chrystusa nakreślonych, radzi by królestwo Boże już na ziemi otrzymać i lepiej stosunki i powinności społeczne urządzić. Owa żądza lepszego, owa gonitwa za jakąś niedosięgniętą doskonałością, co

(Ob. dod).

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 240.

*Siedziba woli w głowie, a z głowy nerwy rozno-
szą ją po organizmie człowieka.*

(Dodatek.)

nich wyciąg jeszcze o wiele byłby za obszerny dla naszego pisma, ze względu na szczupłość jego ramy. Gdy wszakże co chwila, czy to w rozmowie, czy w dziennikach, spotykamy się z temi ważnemi społecznymi sprawami, zaczepimy niektóre z nich choć pobieżnie i odważymy się w kilku zarysach dotknąć tych nigdy niewyczerpanych przedmiotów wiekowych rozpraw i sporów. Nie mamy pretensyi do naukowego wykładu, radzibyśmy tylko podzielić się naszą wiadomością z czytelnikami; jeżeli ich zajęć zdołamy, cel nasz osiągnięty będzie.

I.

Wyzwolenie pracy z ucisku kapitału i poprawa bytu klas roboczych.

Wyzwolenie pracy z ucisku kapitału, w szumnej nazwie swojej zakrawa nieco na igraszkę słów. Kapitał bowiem z pracy powstaje i bez niej istniećby nie mógł, jak praca bez kapitału żadnego by nie wydała rezultatu. W tym jednak pięknie brzmiącym frazesie kryje się właściwie zadanie uregulowania tych obu głównych ekonomicznych czynników, tak aby się wzajem wspierały, bez zbytecznego ciężenia jednego na drugim. Harmonia ta kapitału i pracy niełatwa do doprowadzenia. Wieki stroją te dwa o tysiącach dzwinków narzędzia i dotąd nastroić ich nie mogą. Warunki klimatu, położenie terytoryalne, zasoby kraju materialne, siły jego narodu, warunki polityczne różny wpływ na ten stosunek pracy i kapitału wywierają i różne przynoszą wypadki. Nie możemy się wdawać w rozbiór licznych w tym względzie teoryj, lub czynionych na tém polu poszukiwań i spostrzeżeń. Zastanowimy się raczej nad jednym ze szczegółów tej kwestyi kapitału i pracy, który ją nader ważną czyni, to jest nad urządzeniem stosunków między robotnikami a przedsiębiorcami, co do czasu pracy i wynagrodzenia, a złąd zależności pierwszych od drugich. Szczegół ten wszakże bez potrącenia o badania dotyczące poprawy bytu robotników i zapobieżenia ich ubóstwu, dotykany być nie może.

Zależność robotnika od tego który mu za robotę płaci, jest wynikiem stosunku między nimi trwającego i nigdy zniesioną być nie może, ograniczoną wszakoż być winna w ten sposób, aby robotnika nie wystawiała na wyzyskiwanie przedsiębiorcy i zapewniała mu zarobek wystarczający nie tylko na przyzwoite opędzenie potrzeb, ale nawet na pewne przyjemności życia. Każdy pracownik, czy rolnik, czy rzemieślnik, czy posługacz fabryczny, w tej zależności pozostaje, los jednak ich dzisiaj, choć niezawsze godzien zażycia, o wiele jest lepszy od tego jaki był przed wiekami. Rolnik co w pocie czoła uprawiał niwne swoje, przestawać musiał na częstej plonu, jednym dniu wolnym w tydzień, lub lichym zarobku pieniężnym. Ze zniesieniem pańszczyzny i przymusowej roboty, rolnik z przywiązania do gleby niewolnika, stał się właścicielem cząstkowym lub wieczystym dzierżawcą uprawianej przez siebie roli. Nie wszędzie prawda i nie wszyscy rolnicy tej szczęśliwej doznali przemiany, zyskali wprawdzie wolność osobistą i prawa polityczne, ale wyzuci są z własności; niby to swobodni obywatele, a w istocie zależni od jednej woli, jak np. owi drobni dzierżawcy w Irlandyi, co w każdej chwili, za jednym kaprysem właściciela lub jego rządy, na mocy prawnego kontraktu, z posiadane przez siebie lichego gruntu rugowani i na śmierć głodową wystawieni być mogą. W przodującej cywilizacji Francyi są jeszcze okolice, gdzie włóścianie w największej żyją nędzy, gdzie chleb z maki z korą mieszaną przez większą połowę roku ich żywienie stanowi; lecz są to już wyjątki, liczne bardzo wprawdzie, ale zawsze tylko wyjątki. Społeczeństwo rozciągnęło swoją opiekę nad tymi tak długo upośledzonymi braćmi od pługa, wyzwoliło ich z poddaństwa panów, a chcąc zapewnić im dobry byt, stara się wyzwoić ich jeszcze z poddaństwa kapitału, od zależności dzierżawnych i pożyczek lichwiarskich. Ulepszone uprawy roli i sadownictwo, hodowla inwentarzy i drobiu, przyprowadzić mogą rolnika do pożądanej zamożności. Szkółki i towarzystwa rolnicze i ogrodnicze, potężną są dźwignią owego dobrobytu, jak banki rolnicze zbawienną pomocą w chwilowym niepowodzeniu. Istnieją stowarzyszenia mające na celu zaopatrzenie rolników w bydło, w narzędzia rolnicze, za opłatą umiarkowaną, na raty rozłożoną. Sklepy z towarami dla włóscian niezbędne, przez stowarzyszenia na małym poprzestając zysku zakładane, dostarczają im przedmiotów w dobrym gatunku i po cenie umiarkowanej. Zsytki zbożowe gromadzące zabezpieczają ich od głodu. Maszyny rolnicze, jak młocarnie, sieczkarnie, siewniki, kosztem gminy dla jej

użytku zakupione, ułatwiają robotę gospodarską. (1) Z wyzwoleniem pracy rolniej, ileż to zmian w bycie rolnika nastąpiło! Dosyć spojrzeć na Zachód; z polepszeniem bytu i wygod domowego życia w parze postępowało rozszerzenie oświaty, a za niemi szło przysporzenie praw społecznych: niewolnik stał się obywatelem.

W mury miasta chronił się ów średniowieczny niewolnik do ziemi przykuty, szukać bezpieczeństwa i chleba. Gród zasłaniał go od ucisku i łupieżstwa wędrownych rycerzy, w licznych warsztatach i rzemieślniczych dawał zarobek, a choć później rolnik pozwoli kruszył kajdany i rósł w dostatek i wolę, miasto nie było go zawsze, nie już obronniemi ścianami i wieżami, ale złudnym zyskiem i przywilejami. Bez żalu wiejski młodzieńca rzucał zielone łany sioła i ojczystą zagrodę, w której dzienne światło poraz pierwszy ujrzał, i gnał się ciekaw do miasta. Nie szczędził pracy i mozołu i błyszczące wykuwał zbroje dla rycerzy, lub ciosał z kamienia pyszne ozdoby do tumów i dworów. W ciasnych błotnych uliczkach, w sklepionych izbach zapominał o zielonej dąbrowie i ojczystej chacie, a gospoda cechowa stała mu za wiejski kiermasz. Zato też złoto sypało się obficie za mistrzowską robotę, a cech różnemi darył przywilejami. Dzisiaj szeroko sławimy ducha assocjacyi, wielbimy różne stowarzyszenia, a zapominamy że nie nowego pod słońcem, że to są wszystkie dawne bardzo rzeczy, w nowe tylko przyodziane szaty. Cechy i korporacje w jednych krajach już zniesione lub przeistoczone zostały, a w drugich rozwiązane lub przekształcone być mają; mnożą się zato stowarzyszenia wzajemnej pomocy, kółka robotnicze i assocjacje z imionami świętych patronów lub bez nich, chociaż nie innego jak zapewnienie pomocy i opieki swoim członkom nie miały na celu. Obowiązek ten pomocy braterskiej chorom towarzyszom, opieka nad wdowami i sierotami, dozór nad moralnością uczniów, wpisane były we wszystkie statuta cechowe, w których również i obowiązki religijne głęboko były wyryte; cech miał swego patrona, swoją kaplicę lub ołtarz w miejskim kościele, tak jak miał swoje baszty w murach grodu, której strzedz i zbrojnym obsadzać ludem był obowiązany. Rycerstwo miejskie w potrzebie sprostało szlachcie. Oprócz cechów i bractw, były jeszcze na Zachodzie stowarzyszenia, tak zwane *compagnonnages*; walcząc przeciw monopolom, Francya zniosła cechy i korporacje, a zaprowadziła wolność rzemiosła, za opłatą tylko konsensu. Wolność nieograniczona wprowadzania machin, co znaczną część robotników zamieniły na bezmyślne narzędzia, przy coraz częstszych przewrotach politycznych, inną postać nadała stosunkom robotników. Wyzyskiwani przez przedsiębiorców, którzy od nich nie raz pracy nad siły za szczupły zarobek wymagali, stworzyli między sobą koalicje i porzucali warsztaty, ilekroć im chodziło o podwyższenie zarobku. Koalicje tego rodzaju przypływały nieraz obie strony o nędzę. Społeczeństwo zagrożone musiała prawem oznaczyć godziny pracy, ustanowić w kodeksach kary za zmywy robotników fabrycznych i sądy specjalne do rozstrzygania sporów między robotnikami a przedsiębiorcami. Przepisy prawa same jednak nie zdołały powstrzymać złego; miłość bliźniego, a więc moralność w najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu, wywołała stowarzyszenia wzajemnej pomocy, domy dla niezamożnych robotników, schronienia dla starców i kalek, ochronki dla dziewcząt i szkoły rzemieślnicze dla młodzieży, kasy oszczędności i pożyczkowe. Społeczeństwo chce pracującym przychodzić w pomoc, kształcić ich umysł i serce i ułatwiać życie, to jest dostarcza im mieszkanie, żywność, odzież, narzędzia, jak można najtańiej, daje robotę lub w braku jej wsparcie, ale wsparcie tego nie uważa za konieczny obowiązek, nie przyznaje owego prawa do pracy, prawa wymyślonego przez socjalistów, dla poruszenia łatwowiernych mas. Powiedziano że rząd musi każdemu pracującemu dać zarobek, a w braku tego płacić żołąd, że Francya obowiązana jest dawać chleb powszedni swoim dzieciom; utworzono warsztaty narodowe, gdzie tłumy bez zajęcia cisnęły się poto, aby nie prawie nie robić, a pieniądze brać. Robotnicy narodowi nie robili nic, bo próżniak czy pilny, jednakową w imię równości pobierał płacę.

Tak zaiste, interesem państwa jest aby lud miał robotę, a za nią chleb, ale nie idzie za tem aby państwo stawało się przedsiębiorcą, a kraj jedną fabryką lub warsztatem. Prawda że w państwie rząd na to jest rządem, aby czuwał nad bezpieczeństwem jednostek i ogółu,

(1) U nas właściciele ziemscy mogliby swojemi maszynami przychodzić w pomoc włóścianom za cenę umiarkowaną, przez co oszczędziliby im czasu i mitręgi. Nie potrzebuje dowodzenia, ileby miał oszczędności nasz chłop, gdyby zboże swoje nie na cepy, lecz na prąskiej młocarni omłacał.

aby starał się o rozwój dobrobytu narodowego i wszelkich ku temu środków używał, a obok tego i pomimo to przewodniczył narodowi na drodze jaką Opatrzność każdemu ludowi wytknęła: obowiązkiem atoli rządu jest tylko dawać podniętę do wszystkiego co dobre, piękne i pożyteczne, co mnoży zasoby ducha i materji, a działanie w tej mierze jednostkom musi pozostawić. Obowiązkiem przeto każdego obywatela jest samemu zdobywać sobie utrzymanie i pracę przykładając się do ogólnego dobrobytu, obowiązkiem zaś rządu czuwać nad rozwojem tego dobrobytu. Śmieszna rzecz aby ów rząd, owa opatrzność widoma, miał być piekarzem, stolarzem i t. p., jak się to niektórym socjalistom zachciało i jak to gdzieniegdzie nawet przy wręcz anti-socjalistowskich zasadach ma miejsce. Praktyczna Anglia dobrze tę rzecz zrozumiała; tam rząd nie ma swoich fabryk lub zakładów, lecz wszystko czego potrzebuje, kupuje od prywatnych i ma towar lepszy i tańszy od tego jakiby sam mógł wyprodukować; wiemy bowiem ile administracja zakładów rządowych kosztuje, ile to rzeczy idzie na bok i z jaką sumiennością cała sprawa się prowadzi. Francya pod tym względem stoi niżej od Anglii, ale wyżej znowu od innych krajów. Prawda że ma fabryki i zakłady rządowe, ale własnie najkosztowniej, jakie prywatnym trudno byłoby prowadzić i jakie znowu służą za bodziec dla prywatnego przemysłu. Dość wymienić sławne fabryki luster, gobelinów, porcelany, pyszne stadniny i owczarnie. Obok tego liczne sieci kolei, kanałów, przebudowanie Paryża, wykończenie Luwru, przekształcenie lasku bułońskiego, dają ogromne pole dla pracy i przemysłu prywatnego. Napoleon III nie wziął na swój żołąd narodu, nie uznał prawa do pracy, ale, dając potężną zachętę i szerokie pole pracy, pojął obowiązek rządu i istotną nad klasą roboczą rozciągnął opiekę. Jego staraniem ceny mięsa, chleba i wina są zmniejszone, wnoszą się tanie i zdrowe mieszkania i domy przytulki dla inwalidów pracy. Obok tych materialnych dźwigni, chce jeszcze moralną dać podniętę i jak, mówią, ustanowić osobny znak zasługi dla rolników i robotników.

Takimi tylko środkami zapobiedz można pauperyzmowi szczerzącemu się w klasach pracujących. Wytworzenie jego przypisujemy wprawdzie po części zastąpieniu pracy ręcznej przez machiny, ale przez to nie potępiamy jeszcze machin, owszem przyznajemy iż do tego ogromnego postępu, jaki ludzkość na drodze cywilizacji w ciągu ostatniego wieku zrobiła, wynalazek machin wiele się przyczynił; pod wielu bowiem względami wyzwolił człowieka z mozolnego trudu, z tego ciężkiego jarzma, co gniołąc go do ziemi, nie pozwalało odrywać się myślą ku niebu, a trudząc ciało, gnębiło zarazem i ducha. Prawda że praca jest naszym przeznaczeniem na ziemi, ale dostarczając nam środków do życia, sładzi je zarazem. Dlatego też starać się winniśmy usilnie o utrzymanie tej harmonii między ciałem a duchem, aby praca była nie tylko obowiązkowym trudem, ale osłodą umysłu i serca, aby nie zobojętniała nas na te wyższe duchowe rozkosze, jakie Boskiego początku są upominkiem. Machiny oszczędziły pracy tysiącom rąk, dostarczyły uboższym po niższej cenie tych wygod, jakie dawniej bogaczom tylko dostępne były. Któż dziś nie nosi pończoch, a przed 4ma wiekami były one królewskim podarunkiem, królowe jedna drugiej przesyłały w darze pończochy, miasta je w hołdzie składały, a któryś z królów angielskich na koronację pożyczyl pary pończoch od ambasadora przy dworze jego uwierzytelnionego.

Przemysł, potęgą mechanizmu i pary dźwignięty, porównał stany; jednakowa sukna okrywa biedaka i bogacza, różnica tylko w mniej lub więcej wykwintnym kroju i gatunku sukna. Lord kanclerz i robotnik londyński w powszedni dzień i święto chodzą we fraku i okragłym kapeluszu.

Prawda że jednostajne mechaniczne zatrudnienie ludzi z mniejszym zasobem inteligencji czyni ociężały i podobnymi do członka jakiego przesuwają lub kółka nad obrotem którego czuwają, ale zato wyższych, duchem wyzwalając od nużącej pracy, usposabia do przyjęcia wykształcenia. Szkółki i odczyty wieczorne dla robotników są próbą ich zdolności i silną dźwignią oświaty, a znakomita liczba uczniów i słuchaczy wystarczającym w tym względzie dowodem. Kto zgina się przy mechanicznej pracy, upadałby tak samo przy ręcznej, a kto zwycięsko z tej walki wychodzi, może być jeszcze na polu ducha i wiedzy dzielny bojownikiem, jak tego przykłady Stenfosonów, Dawych i tylu innych dowodzą. Śmiało zatem powtórzyć możemy, że maszyny wiele się przyczyniły do wykształcenia klas pracujących. Pomnożyły one wprawdzie, zwłaszcza w początkach, zgłodniałych proletaryuszów zastępy, ale zato uwolniły tysiące rąk, które z

korzyścią do uprawy roli mogły być użyte, a w tyłu jeszcze krajach brak rąk do roli i leżą odłogi obszary ziemi, żadne lemiesz i ziarna. Brak ten rąk złąd pochodzi, iż ludność wiejska ciągle do miast napływa, pomimo że tam ją głód, choroba i nędza dzieśnią. We Francji ten napływ ludności roboczej do miast takie rozmiary przybierał, iż władza musiała wydać rozporządzenia ograniczające możliwość przemieszczania się. Każdy mający chęć przenieść się do miasta dla zarobku, winien udowodnić iż posiada nietylko rzemiosło, mogące zapewnić mu sposób do życia, ale fundusz odpowiedni na nieprzewidziane okoliczności.

Z rozwojem przemysłu i machin, gdy niektóre rzemiosła ręczne upadały, a do roli dostatecznej brakło zachęty, liczba robotników w innych rzemiosłach i kunsztach wzrastała; dziwna rzecz wszakże iż przy takim napływie pracujących, a złąd konkurencji między nimi, owe kunszta wyzwole, jak np. snycerstwo, dlutownictwo (ciselure) nie mogą pod względem piękna doścignąć sztuki starożytnej. Zdawałoby się że przy nagromadzeniu wzorów doskonałych, przy podniesieniu ogólnego wykształcenia, z owego tłumy wezwanych, powinniśmy wyjść choć kilku wybranych, coby przewyższając mistrzów dawnych, nowe stworzyli arcydzieła, godne XIXgo wieku. Tymczasem utylitarność ogarnęła wszystkich; tworzymy rozmaite sprzęty dla praktycznego użytku i wygody, ale cechy piękna na nich nie znać. Kiedy na najpospolitszych sprzętach u starożytnych, na kuchennych naczyniach, na wazkach, które za symbol merkantylnemu naszego stulecia przyjąłoby należało, wszędzie widać ślady głębokiego poczucia piękna i wytwornego smaku, czyż nam nie będzie dano podobną dla potymności zostawić pamiątkę? czyż sztuka nadobna już przeszła wszystkie fazy i wyczerpała wszystkie swoje tajniki, a my za wzór donasładowania prześlemy następcom naszym tylko lokomobile o brzuchatych kotłach, wysokich kominach i zębatych kółkach, lub telegraf elektryczny z drzącą igielką i nieskończonym pasmem drutów?

Nietylko iż nie możemy poszczycić się abyśmy doszli do takiej doskonałości piękna w sztuce, jakiej wzorów w ruinach Aten i Rzymu, wykopaliskach Pompei, lub średniowiecznych pomnikach szukać nam przychodzi, ale nawet daleko nam do tej miśterności i dokładności w wyrobie, jakich dowody dają Chińczycy w swoich wyrzniętych cackach z słoniowej kości, lub Indianie w świetnych i powiewnych tkaninach. Gdzież szukać przyczyny tej naszej niedoskonałości? Otóż trochę w chorobach wieku naszego, w owej żądzy bogacenia się i używania, jaka podobno i innym stuleciom obcą nie była; trochę w wyższości naszego wykształcenia i całego ustroju społecznego; w owej nieograniczonej wolności pracy, a głównie w ekonomicznej zasadzie: produkować jaknajwięcej a jaknajtaniej. Wszyscy śpieszą się używać ziemskich rozkoszy i wygod i radziły ich największą sumę sobie zapewnić, śpieszą się zatem i z robotą, aby jaknajwięcej zarobić. Dlatego produkują wiele a tanio, aby znieć ku sobie kupców i drobny zysk na pojedynczej sztuce, odbijać na znacznej ich ilości. Produkują wiele a tanio, i dlatego nie mają czasu starać się o wykończenie, o estetyczną formę i doskonałość wewnętrzną wyrobu. Chciwi błyskotek i fałszywego zbytku hołdownicy próżności, naśladowując bogactwo i wytworność, ale sami piękna stworzyć nie zdołają. W epoce szychu, tombaku, szklanych klejnotów, aksamitu z bawełny, nowego srebra i dętych wyrobów złotniczych, nie można wymagać od robotnika wytrwałości, cierpliwości, wyłącznego poświęcenia czasu i trudu jednemu przedmiotowi. Mistrz starożytny, nowoczesny Chińczyk lub Indianin, oddawał się wyłącznie swemu powołaniu, bo ono go tylko zajmowało; nie dbał o to czy rokiem prędzej czy później wykończy robotę, starał się tylko o jej doskonałość. Dzisiaj rzemieślnik czy artysta, prócz obowiązków powołania swego i rodziny, ma jeszcze obowiązki względem kraju. Nie idzie za tym aby nasz społeczny więcej kochał swój kraj od dawnego Greka lub Rzymianina, ale więcej mu służy, a służba ta wiele pochłania czasu. Obowiązek radcy gminnego lub kościelnego, gwardzysty narodowego, przysięgłego, sędziego polubownego, częścię odrywają od pracy jak dawniejsze forum. Może być że kraj na tym zyskuje, ale sztuka i rzemiosło traci. Wyższa oświata klas pracujących sprawia że więcej czasu poświęcają na dalsze kształcenie się duchowe, że znają wartość tego czasu, więc obowiązkom zawodu poświęcają go tyle tylko, ile koniecznie potrzeba. Przy kształceniu także klas pracujących zbyt mało zwracano uwagi na obudzenie zamiłowania piękna i dobrego smaku, i temu również brak jegow w dzisiejszych utworach rzemiosł po części przypisać należy. Zniesienie cechów

i swoboda pracy zniżyła jej cenę i wartość jej dzieł. Wolna konkurencja przemysłu i handlu, piękno użyteczności poświęciły.

Przeciwni jesteśmy w zasadzie cechom, jako ograniczeniu, jako monopolowi na korzyść kilkunastu czy kilkudziesięciu, jako pewnemu rodzajowi niewolnictwa; jakże bowiem nazwać te ustawy, które nie pozwalają prowadzić rzemiosła tylko tym, co w cech są wpisani, do cechu zaś nie przyjmują tylko tych, co oznaczoną liczbę lat w terminie i czeladnictwie przebędą i wszelkim zwyczajom cechowym się poddadzą? Dzwolenie prowadzenia rzemiosła każdemu co konsens opłaci, bez sprawdzenia jego kwalifikacji, nie powinno mieć miejsca, jeżeli nie ze względu na rzemieślnika, to ze względu na publiczność. Rzemieślnik w swoim fachu nie wyćwiczony, niedokładnością roboty odrzuci kupujących i stracić może sposób do życia, publiczność zaś narażoną jest na zawód, ma zatem prawo żądać aby do wykonania profesji tylko wykwalifikowani majstrowie dopuszczani byli. Kwalifikacja ta wszelako, bez względu na to gdzie kto, u kogo i jak długo się uczył, udzieloną być winna, jeżeli starający się biegle w swoim rzemiosle wykaże. Najwłaściwszymi sędziami w tej mierze mogą być rzemieślnicy z grona zgromadzenia tego kunsztu wybrani. Do takich wybranych należałoby także staranie o przyswojenie wynalazków i ulepszeń w ich profesji, czuwanie nad moralnością i wykształceniem rzemieślników i obywatelskim uczniami, nad losem kalę, chorych, wdów i sierot po rzemieślnikach z ich zgromadzenia, zbieranie wreszcie składek stałych od majstrów i czeladników, w miarę ich zarobku i przychodzenie funduszami temi w pomoc nieżamomnym towarzyszom, z warunkiem wszakże spłacania częściowego wsparcia w miarę możliwości; jednem słowem cech winien zamienić się w stowarzyszenie wzajemnej pomocy. Stowarzyszenia także mogłyby na potrzeby ogółu zakupywać hurtem surowe materiały, mieć zbiorowe składy swoich wyrobów (jak je mają u nas szewcy i stolarze), nadto za pomocą drobnych akcyj zakładać kasy pożyczkowe, lombardy i stwarzać inne tego rodzaju instytucje, zabezpieczające od niedostatku i goniącej za nim lichwy, a jakie niezależnie od tego z osobnych funduszy we wszystkich znaczniejszych miastach istnieją. W Niemczech stowarzyszenia takie rzemieślnicze zajęły już miejsce cechów i coraz bardziej się rozwijają, jak o tym niedawno odbywane ich kongresy przekonywają. Głównym serzyścielem ich jest ów sławny germanizator Schultze Delitsch, którego zabiegom w tym względzie cześć oddać musimy.

Z. Z.

WIKINGI Z WOLINA.

TRZY PIEŚNI.

Według sagi skandynawskiej. (*)

PIEŚŃ I.

Stypa.

Na wyspie, w odwiecznej siedzibie Lechitów
Stał pyszny gród Wolin, bałtyckiej król fali,
W niej kąpać podnóże z olbrzymich granitów,
W świat puszczał okręty ładowne w dąb, zboże,
Po perły, po wieniec mórzech wschodnich koralu.
I błyszczał on świetny Pomorz jak zorze,
Aż pono, gdy zhytkiem bogactwa zgrzeszyły,
Gród zapadł się z grzotem, — otchłanie go skryły.

(1) Właściwie jestto saga jomsburska, dlatego tak nazwana, że przy ujściu Swiny do morza Bałtyckiego, na wyspie Wolinie zamieszkał przez słowiańskich Lutyków i Wilków, niedaleko Szczecina, w mieście także Wolinie, zdobywcze plemię Normandów założyło zamek Jomsburg, w początkach X wieku. Braterska ta rzesza wikingów, tojest morskich rycerzy, zgromadzona pod wodzą Zelandczyka Sigwalda, niedługo po założeniu zamku, otrzymała surowe prawa od Palnatokiego, które ją ścisła związały spójnią. Nikt w tym towarzystwie nie mógł mieć żony przy sobie. Badacz nasz znakomity p. W. A. Maciejowski utrzymuje, że testowarzenia wikingów posiały zaród późniejszego utworzenia się u nas sicy zaporozkiej, która bardzo podobnemi rządziła się prawami. Rzeczywiście tak na sicy jak i u wikingów nowozacznici musieli najprzód poddawać się próbom, np. przepływaniu tam Dniepru, tu morskiej odnogi; żaden też towarzysz Zaporozia nie mógł mieć przy sobie żony. Zarody te zostawione zostały w wyprawach Skandynawów rzekami, głównie Dnieprem, ku morzu Czarnemu i Konstantynopolowi.

Saga wspomniana znajduje się przytoczona treściwie prozą w „Kronice Helmolda“, tłumaczonej i objaśnionej przez p. Jana Papłowskiego. Kto się wczytał w dzieje dawnych Skandynawów, ten przyjmie za możebne i prawdziwe dowody mocy ducha i niesłychanego męstwa, o jakich w tym pięknym pomniku skandynawskim czytamy.

Dzisiaj jeszcze tam, mówią, wśród ciszy dokoła,
Gdy żeglarz szczęśliwy w głąb' puści żrenicę,
To ujrzy w przeczroczu omszone dzwonnice,
I dzwonoń jak słyszy morską kościolę.
Już tysiąc lat płynie, jak w mieście Wolinie
Normandy zamczysko Jomsburgu ogromne
Stawili i z niego po wrzającej głębinie
Czynili wyprawy jak piorun niezłomne.

Raz z wyspy z przesmyku wybiegły okręty,
Jak stado łabędzi z śnieżnymi skrzydłami,
Przez wzdęte od słońca, iskrzące odmyty,
Las masztów zasumiał dwustoma żaglami.
I płyną na zachód ku ziemi ojczystej;
Rej wodził smok-okręt, cud-dziwo nieznane,
O szyi w kły zbrojnej, wygiętej, ognistej,
Skrzydłami wzbudzały, miał piersi miedziane.

Stał na nim Sigwaldi, wódz morskich szermierzy;
Z pokładu z pod żagli wzrok puścił w skraj morza,
Płaszcz na nim płomienny pożarów strach szęrzy,
Wspart dłonie na mieczu, hełm jaśniał jak zorza.
Lecz czemuż piers smutkiem gniewiona z pod stali
Westchnienie tłumione wybrzmiała?... Ot, w dali
Zelandyja ojczyste roztacza wybrzeża:
Tam z brzegów mu sterczy grób ojca-rycerza.

Strutharald jarł (2) umarł, jak wszystkie wikingi,
Gdy w boju nie giną od młota, od klingi:
Nie umarł na słomie, lecz blizki mogiły,
Z gaśnięciem swę gwiazdy, sam przebił swe żyły.
Wysiedli z okrętów i biegną gromadą,
Na kurhan okrągły, podniebny, i kolem
Piers korzą, dumając nad ziemską zagładą,
Wiec bogom Walhali swe modły ślą społem...

W zamkowej świetlicy obitej skórą,
Na stołach dębowych już stypa dymila
Pieczeń jeleni z złotymi rogami,
I w kadzi srebrzystej odyńca wienięcia
Korona z róż dzikich, w kłach jabłka czerwone;
A dzbany błyszczały miodami spienione.
Na ścianach z rozpiętych niedźwiedziach skór
Jaśniały oręże jak gromy chmur.

Wtém przyszedł i Harald, książęciem on Danów,
W płaszcz strojny z purpury, gwiazdami usiany;
I przyjaźń zmarłego i skrytych myśli planów
Przywołał go tutaj. Siadł mile witany
Na miejscu najwyższem; Sigwaldi siadł z prawa,
A z lewa Astryda, ziemicy tej sława,
Zkąd Sigwald za żonę wyprosił ją sobie;
Ję ojciec Burzysław, król Wendów, już w grobie.

I cały stół wieniec srebrzysto-złocistym
Zabłyszczał, gdy mnogie świeczniki wniesiono;
Kwiat zbroic i hełmów w rycerskie się grono
Powiazał; tu owdzie w ustroju śnieżystym
I łono normandzkich dzieł błysło w grze-cieni.
Śród jarłów był Torkel, brat wodza z Wolina,
Wagn, Bue i Sigurd, dwaj bracia rodzeni,
I Biorna przysłała Bretonów kraina.

W ogromnych puarach oprawnych w róg turzy
Pienisty miód krąży od dłoni do dłoni;
Lecz czoło konunga duńskiego się chmurzy
Tajnymi zamysły. Znał dobrze on ramie
Jomsburskich wikingów, znał sławę ich broni...
Wiec krzyknie wesoło, choć dusza w nim kłamię:
„Hej! znieść tu z mych lochów sycylijskich win [kadzie,
Niech radość purpurą przywiwiera biesiadzie“.

I wino purpury wniesiono do sali.
Już szczerść z ochotą zabrzmięła dokoła,
A ręce przechodzą od rogów do stali,
I huczą aż straszno, aż konung zawoła:
„Ej! bracia wikingi, kwas nudy mnie dławia,
Myśl w kółku niezmiennem jałowicę poczyń,
Wymyślmę zabawę, niech ucztę rozślawi,
Niech o niej potymność z ust wnuków wspomina.“

Wódz Sigwald się ozwie: Pierwszeństwo twę mowiel
Co rzekniesz, to święcie! my pójdziem za tobą.“
Rzekł Harald: „Od wieków przesławni przodkowie
Śród biesiad podobnych, zwieńczonych żałobą,
Z zwyczaju, na chwałę swą śluby składali.
Wikingi! wam sławy zazdrości Tor w niebie,
Toż śluby rycerzy zebranych w tej sali
Nielada być winny. Zaczynam od siebie:

(1) Jar, jarł, to samo co wielkorządca, a u nas wojewoda.

(2) Ma to być Mieczysław I, Władysław zaś nazywali cudzoziemcy dawnych Polaków.

Przysięgam! nim zima potrzykroć mórz prądy
W mur zetnie lodowy, w kraj Anglów popłynę,
Spopiele wsie, miasta, zagarnę im lądy,
Etelred król zginie, lub ja ot tak zginę.“
Tu rozciął toporem łeb dzika na dwoje:
„Tak niech mi pomoże Tor, krzepki pan bojów!
A teraz Sigwald! ty śluby głoś swoje.“
Więc powstał wódz rozgrzan potęgą napojów:

„Przysięgam! niech Odin bóg-stwórca pomoże.
Nim lato kraj zbożem złocistém ustroi,
Okrety swe wszystkie rozpuszczę na morze,
I na ląd wysiądę w norweską ostoję;
Tam jarła Hakona wypędzę z krainy,
Lub jak psa zabiję, kraj zmienię w ruiny!“
Rzekł Harald radośnie: „Przed tobą drżą wrogil!
Niech Normy (2) różami uścielą twe drogi.

A teraz ty w kolój, Torkelu Wysoki!
Ty zwykłeś na umór bój toczyć po świecie.“
Rzekł Torkel: „Sigwaldi ma wszędy me kroki
I czyni mój dłoni powolne jak dziecię.
Jam przysięgał go bronić śród walki odmetu,
I nie ujęć, aż ujrzę tył jego okrętu.“
A konung mu na to: „Twe słowa grom sieją.
No, Bue ty Gruby, cóż powiesz koleją?“

„Przysięgam! rzekł Bue, z Sigwaldim iść w parze
I z walki nie ujęć, aż chyba sam każe.“
„Wiedziałem już z góry, że powiesz rzecz dobrą,
Rzekł konung; no, Krepy Sigurdzie, do rzeczy!
Cóż powiesz po bracie?“ Rzekł Sigurd: „Dłoń chrobrą,
Braterską nam ukuł bóg wojen w swą pieczę;
Ja brata nie rzucę, aż śmierć nas rozdzieli.“
Znów Konung zachęca, a coraz weselęj:

„Przezacne z was druchy, jomsburgskie wikingi.“
Toż przysięgał Bretańczyk Biorn skory do klingi;
Aż w rogu ustoła i Wagna tak zacnie
Podburzać: „Junaku z zwojami kędziarów!
Czy w świeże twe usta, czy w pierś twą niesmacznie
Ślub wpada? Tak milczysz? czyś wrogiem toporów?“
Namarszczył brwi młodzian, krwią oblał skroń,
Płaszcz spuścił z ramienia, miecz porwał w dłoń,

Rzekł wstając: „Ten brzeszczot dwom służy wszech-
Druhowi Buemu i moich rąk woli; [władnie:
Któż nie wie, z kim wspólnie zmieszana krew na
Puharu wypilem w przyjaźnej znak doli? [dnie
Gdzie Bue ślub wyrzekł, tam święte mi prawo,
Toż z wami popłynięm za złotem i sławą.
Na Freję przysięgam! nie puszcę go zdradnie
Śród boju, aż każe lub trupem mi padnie.

I drugi ślub głoszę, słuchajcie rycerze!
Gdy stopą już tracę w Norwegów wybrzeże,
Zabiję Leira, całunkiem ukoję
Żal córki Juborgi i śluby tam swoje
Zamienię w świątyni na wieniec jej czoła!“
Tak piją do świtu, aż konung zawoła,
Rad swoim zamysłem śród blizkich zamętów,
„Hej! daję sześćdziesiąt na wojnę okrętów.“

PIEŚŃ II.

Straszni goście.

Krwawą tarczą słońce wstaje
Z nad Bałtyku czarnych chmur,
Krwia nadbrzeżne zlewa gaje
I wierzchołki śnieżnych gór.
Łono morskie żarem płonie,
Orły w locie toczą bój,
Szumią beltów ciche tonie:
Stuokrętny płynie rój.

Przodem okręt-smok ster trzyma,
Niby żoraw lotnych stad,
Wódz Sigwaldi już oczyma
Brzeg Norwegów zgnieśby rad.
Biada—biada! miecz krwi chciwy
W piersiach bratnich tonąć ma,
Prysną miecze i ciecwy:
Tor na zbrodnię gromy ma...

Jarl Norwegów Hakon czujny
Ma miecz zwany bratem-burz,
Ma kraj w dzielne męże bujny,
O napadzie wie on już.

Trzysta już okrętów stawił
Na giorungskiej szyi fal;
Kapłan-wróźbit błogosławił
Mnogie łuki, straszną stal.

Czterech skaldów z bardonami
Na pokładzie stoi z nim,
Grzmia ich struny piorunami
Cześć dla zacnych, hańbę złym.
Strasza burza z fal się zrywa,
Wróg już z wrogiem w miecze gra.
Próżno pamięć dzieje wzywa,
Czy kto walkę taką zna?!

Nikt nie pomni... Strzał obłoki
W noc zmieniły dzienny blask;
Okręt w okręt, w piersi, boki
Tłucze, gradem pęka drzazg.
Nikną helmy i szyszaki,
Topór łupie zbroic stal,
Tam jak spięte dwa rumaki
Statki toną z rykiem fal.

Szczęk, wrzask, łomot głośzą struny
Harf wojennych, próżno grać!
Tłum Jomsburgów niezwalczony!
Hakon musiał tył im dać.
Śpiesznie zdąża w swe przystanie,
W las, na zamek śpieszniej wbiegł,
Gdzie śpi jego syn-kochanie.
Dészcz leż z oczu ojca ciekł,
Gdy go chwyta w swe objęcia,
Skarb najdroższy jaki miał!
Gdy w gaj święty bez wytechnięcia
Z ofiarnikiem biegnie w cwał.

Gdzie się ołtarz święty bieli
Dla bogini wojny, tam
Na kamienną go pościeli
Z strasznym jękiem zabił sam!
Ta ofiara purpurowa
Dla ojczyzny zebrze łask,
I bogini twarz gromowa
Rozjaśniała w zwycięstw brzask.

* * *

Z świtem bój się znów wynurza,
Otcłani morska ciszą tchnie,
Gdy wtém nagle wstaje burza,
Od Norwegii falą rwie.

Najeźdźnikom grad ciał w oczy,
Wicher strzały cofa wstecz,
Strasza chmura wzrok im mroczy,
Lecz Hakona szczeka miecz!

Pierwszy Sigwald duchem zmienny
Woła: „Bies tu wmieszał się!
Jam uczynił ślub wojenny
Bić się z ludźmi, z biesem nie!“
I gwałtownie ster odwrócił,
Pierwszy z boju uciekł, tchórz!
Wagn swój dziurzył za nim rzucił
I pieśń taką z rykiem burz:

„Sigwaldi pod topór nas przywiódł tu,
Sam uciekł, strwożony!
Tchórz, śpieszy do domu, on pragnie snu!
On tam co tchu,
Nikczemny! chce upaść na łono swjej żony!“

Wśląd za bratem i Wysoki
Torkel uszedł z grzmiących fal,
A Buemu już wyroki
Wyrąbała strasza stal.
Naraz strasne z dwóch stron miecze
Górną wargę, dłonie tną,
Jak pień stoi, krew zeń ciecze,
Błędne oczy zasły mglą.

„Któraż z dziewic się odważy
Na Bornholmie teraz mi
Całus złożyć w takiej twarzy?
Co na świecie z takich pnił?“
Tak rzekł Bue, i resztkami
Rąk obciętych schwycił on
Swą szkatułę z klejnotami,
I z nią w morzu znalazł zgon.

Uszedł Sigurd z śmiercią brata;
Jarl Wagn pojman z statkiem swym.
Strasza bitwa w dziejach świata
Znikła z morza niby dym.

Norwegowie z fal krwią zlanych
Pieśń zawodzą w grzmiący chór;
Siedemdziesiąt powiązanych
Jeńców wiozą do swych gór.

PIEŚŃ III.

Straszni jeńcy.

W gaju Torgardy, zwycięstw bogini,
Jarl Hakon jeńcom rozkazał stać;
Kapłan-ofiarnik obrzędy czyni:
Ma z nich ofiarę bogini dać.

Jeden ich powróż uwikłał w pęta,
Jeden im topór ma głowy zciąć;
Jak na dożynek obfite święta
Torkal Leira plon będzie żąć.

Pochwycił topór. Jarl srogim wzrokiem
Liczy ich, ściga okrutną brew,
Oni tak szydnem patrzą nań okiem!
Choć dawno wężą już własną krew.

Trzem wieńce z dębów plotą w kędziory,
Lica im stroi męczeństwa blask,
Trzy głowy spadły jak zcięte wiory,
Żaden nie wzywał zwycięzczych łask.

Aż i z powroza czwartego wiodą,
Już mu wian liści oplata skroń,
Pancerz rozbity, krew cmi twarz młodą,
Torkel Leira rzekł szydnie doń:

„Jak ci się zdało iść tam w obłoki?“
„Śmierć to rzecz dobra! Ty raczej drżij;
Słusznie iść w ślady ojca bez zwłoki.“
„Cóż się z nim stało?“ „On umarł, tnij!“

Upadła głowa. Torkel znów pyta,
Gdy piąty stanął, a topór błysł:
„Czy tam za serce cię co nie chwyta?“
Lecz jeniec czarne brwi chmurnie ścisł

I rzekł: „W Jomsburgu, w mieście Wolinie
Ten zakon Toki wikingom dał:
Harba rycerza tego nie minie,
Kto zdradził słowem, że z trwogi drżał;

Każdy się z śmiercią w życiu raz zmierzy..“
Wtrącił więc Torkel i tego w grób.
A Hakon kazał męstwo rycerzy
Łamać postrachem szyderczych prób.

Szedł szósty, starzec już uwieniczony;
Torkel więc sztydzi: „Wikingu! drżij.“
Ten rzekł: „Walhali blasku spragniony,
Zginę chwalebnie, ty podle żyj!“

Zginał. A siódmy pytanie kata
Tą odpowiedzią ciekawą zbył:
„Umrzeć mi błogo. U nas brat brata
Pytał, gdym wolny w Jomsburgu żył:

Czy też ten wie co, albo pamięta,
Ktoremu głowa upadnie już?..
Ot, mam nóż w dłoni, gdy głowa zcięta
Złeci mi, wtedy, tak! wzniosę nóż

Na znak, że pamięć mam jeszcze w sobie;
Jak nie, to nóż mi wypadnie z rąk.“
Ciął Torkel, ręce obwisły obie,
Jeniec padł, niby zwalony drag.

Siódmy szedł jeniec. Znowu badanie.
„Śmierć mi nie strasza, to ludzki los!“
Torkel ostrz waży... „Tnijże, tyranie!“
Z piorunem gniewu spadł zręczny cios.

I rzekł dziewiąty: „Śmierć mi uciecha;
Siadam, a ty patrz, czy twarz mi drga?
Rab w nią a prosto... Pod ojca strzechą
O tém nam nieraz gawędka szła...“

I z czołem w słońce zwróconém siada,
Torkel go prosto po twarzy ciał,
I gdy na lica padła śmierć blada,
Zwarł modre oczy, lecz ani drgnął.

Aż idzie wiking w pancerz ubrany,
Skroń złoci gęsty, jedwabny włos,

(2) Normy, boginie lasów u Skandynawów.

Za pasem błyszczał brzeszczot krwią zlany;
Torkel znów pyta: „Przykryż ci los?”

Ów rzekł: „Już bracia tacy od wczora
W walce i kaźni ponieśli zgon,
Że mnieby żywot gniótł pierś jak zmore,
Toż lepij iść na Odina tron.

Tylko niech rycerz schyli mi głowę,
Bo niewolnika odrzucę dłoń,
Niech w górę wzniesie włosy me płowe,
By w krwi nie zmokły, gdy zwiśnie skroni.”

Zbliżył się rycerz norweskimi z koła,
Oburącz w górę włos rusy (1) wziął,
Lecz topór w miejsce wikinga czoła,
Po łokieć ręce Norwega zciął.

Zerwał się wiking: „Czyje tam dłonie
W włosach mych zcięte uwikłał cud?”
— Białda! zawołał Hakon, rąb w skronie
Tego i wszystkich, to straszny lud!”

Lecz syn Hakona Ejrich przypada:
„Wprzód niech imiona swe rzekną ci,
Kto ty? jak się zwiesz?” Ten odpowiada:
„Bue z Bornholmu rodzicem mi.”

„Jak staryś?” „Jeśli przeżyje lato,
To ośmnasty wypełnię rok.”
„Przeżyjesz!” młody Ejrich rzekł na to
I powiódł jeńca w rycerzy łok.

I rozplątują jeszcze z powroza
Wikinga, nie mógł odwikłać stóp,
Toż siedział spętany, z lic patrzy groza
Na tłum zwycięzców, na blizki grób.

Był smukły, męźnej, świetnej urody,
Hełm mu skrzydłami orlemy drgał,
Kołczuga zcięta, włos bujny, młody
Na lśniącej zbroję las złoty siał.

„Jak ci umierać?” Torkel zapyta.
„Kto miecz postradał, dla tego stał
Męczeńska tęczą raję rozkwita,
Lecz jeden tylko pierś dręczy żal...”

Tak prawil wiking, Ejrich się pyta:
„Jak tobie dzieja?” (2) „Wagnem mnie zwa.”
„Ojciec twój?” „Aki.” „Cóż cię tak chwyta
Za serce? Co tak myśl płoszy twą?”

Rzekł Wagn: „Niedawno na ostrze stali
Na imię Frei przysiągłem ślub:
Jeśli w Norwegii będziemy w miecz grali,
Wtrąć Leira na wieki w grób.

I jeszcze skończył tak śluby moje:
Cudną dziewoję ma Leir ten,
Więc żal Juborgi sercem ukoję,
A dziś to wszystko znikło jak sen!”...

Torkel Leira rzekł gniewem zdjęty:
„Podty! nie tobie mój kwiatek rósł.”
Zgrzytnął, jak rumak rzucił się wspięty,
Topór oburącz z zamachem wznosił.

Wtém Biorn Bretańczyk pechnął Wagna nogą,
Ten padł, a Torkel, chcąc zniszczyć ślub,
Już topór spuścił, ale złowrogo,
Bo przeciał powróż u Wagna stóp.

Wagn się od ziemi porwał ockniony,
Wyrwał miecz, przez łeb Torkela tnie.
„Teraz, rzekł, ślub mój napół ziszczony,
Serdeczna radość ogarnia mnie!

Jarl Hakon wola: „Trzymać! Zabijcie!
Niech go straszliwy pochłonie zgon.
Rzekł Ejrich: „Ojczel prośbę przyjmijcie,
Lepiej niż Torkel ciąc będzie on:

Toż się zamiana hojnie oplaci,
Wagn nam Torkela zastąpi,—i
Tę garstce jego dzielnych współbraci
Ojczel! daj wolnych zażywać dni.”

Tak rzekł wspaniały Ejrich. Po chwili
Pęta wikingom tnie zacna stał;
Lecz do Wilina już nie wrócił;
Jadą w kraj ojców po grzbietach fal.

Józef Grajner.

Przegląd piśmienniczy.

*Doralisa. Obraz rodzinny z dzisiejszych czasów, przez Idę hrabinę Hahn-Hahn. Z niemieckiego przez **** Tomów 2, Berlin i Poznań 1863 r. 16a t. I str. 298. T. II str. 299.*

Szeroko i oddawna rozprawiają literaci o tak zwanej tendencyjnej powieści i, jak to zawsze bywa, jedni z nich nader wymownie na jej korzyść przemawiają, drugim powieść tego rodzaju jest mniej więcej wstrętną. Faktem to dla każdego widocznym, iż w naszych czasach nie jest więcej nad powieść poczytną, nie przeto łatwiej nie nadaje się do rozpowszechnienia tych lub owych zasad, nie też nie jest rozległej eksploatacją. Powieść stała się bardzo dogodnym, dziwnie elastycznym a nawet potężnym narzędziem, zwłaszcza gdy się niemi posługuje osobistość obdarzona talentem i sympatyczną. Istnieją wszakże pisarze i czytelnicy, którzy wiele pamiętają z kursów literatury i filozoficznych wywodów piękna, mniej bacząc na kierunek społecznych umysłów; tym podobne użycie „do wszystkiego” literackiej formy, wydaje się zawsze nadużyciem, prostytucją prawie; ci ludzie surowo i poważnie traktują sztukę, z oburzeniem spoglądają na używanie jej do celów postronnych, poza obrebnem jej leżących. Tymczasem piśmiennicza falanga przeciwnego obozu drwiąco uśmiecha się na wspomnienie wpół-mistycznego orzeczenia: „sztuka dla sztuki.”

Spór ten przypomina poniekąd walkę klasyków z romantykami, lub dawne dysputy o tym, czy filozofia ma być służebnicą teologii, czy też przeciwnie.

Na czyjej stronie jest słusność?

Tego, zdaniem naszym, nie można jeszcze stanowczo rozstrzygnąć. Oba stronnictwa napisały całe foliały za i przeciw. Jestto coś w rodzaju wojny amerykańskiej, w której bojują z sobą największej wagi interesa, zarówno drogie postępowej ludzkości, a która dotąd do stanowczych wyników nie doprowadziła. Tymczasem zaciekle literackich yankeesów, posuwając się do ostateczności w obronie własnego standardu, wyradza szczególnego rodzaju literackie dziwolagi.

Za takiego dziwolaga poczytujemy przełożoną niedawno z niemieckiego powieść pod tytułem „Doralisa.” Co to jest właściwie? romans, czy teologia? powieść, czy godzinki? tego żadną miarą zbadać nie możemy. Przypuszczać tylko można iż zamiarem autorki było przede wszystkim przypomnienie czytelnikom zasad katolickiej nauki; wnosimy to z tego, iż na każdej niemal karcie strona artystyczna utworu nagina się gwoi objaśnieniu rozmaitych teologicznych zawiłości. Z pomiędzy wielu występujących na widownię osób, czytelnik zaledwie może wyróżnić dwie nieco wyrazistsze kobiece postacie; z tych jedna niezmordowanie wydaje swe córki za mąż, a druga nawraca całe swe otoczenie; inne figury są niewyraźne, mdłe, nienaturalne, niewykończone, rodzaj komparsów, którym ukryty za kulisami autor to i owu w usta kładzie, jak mu tam dla przeprowadzenia swego założenia dogodniej się wydaje. Z żadnym z tych niezgrabnych automatów czytelnik nie może sympatyzować, gdyż ciągle słychać skrzyp rozmaitych napół zaledwie zakrytych kółek i sprężyn, pozorne im życie nadających. Akcyi i interesu niema tu najmniejszego; od pierwszych niemal stronic już łatwo jest przewidzieć jak się ten cały kłębek rozwinie. Zdaje się że autorka na ten raz najzupełniej zapomniała o tak zwanej psychologicznej prawdzie, która jednak ma nieposłednie w sztuce znaczenie. Powieść taka jest zdaniem naszym utworem najzupełniej chybnym; ani zając, ani nawrócić nikogo nie zdoła, gdyż porządnej chrześcijańskiej nauki nie zastąpi, a pod względem artystycznym nie ma żadnej wartości, jest niewykończona, rozwlekła i nudna.

Że tam Niemcy, tyle o wszystkiem piszący, którzy wydają katechizmy o heraldyce, choreografii, ogrodnictwie, płodozmianach i t. d., porodzili w końcu utwór, będący do pasa teologią, a zresztą lichą powie-

ścią, to nas nietylko dziwi; ale że komuś przyszło do głowy darzyć nas nietęgim przekładem tej niemieckiej ramoty, to więcej szczególna. Ani nasz kościół nie ma potrzeby zadawać nam podobnego rodzaju miksury, bośmy wcale nie chorzy na religijny indyferentyzm, ani też powszechność nasza nie potrzebuje uczyć się z lichiej powieści w co i jak ma wierzyć, mając po temu lepsze i stosowniejsze źródła. Wstrętnym nam jest owo obrabianie zasad religii w formie salonowej rozmowy. Umysł polski poczyta niezawodnie za profanacją wszelkie dysputy o łasce podczas herbaty, wszelkie traktowanie salonowym trybem rzeczy zbawienia dotyczących. Nasza głęboka wiara czuje zawsze odrazę do wszelkich gołostownych szermów duchownych. Wystawienie w osobach rozmaitych wyznań i wierzeń, jak to ma miejsce w „Doralisie,” jest w naszych oczach niefortunne wznowienie świętobliwych komedij, odgrywanych niegdyś przez szkolarzy i pauprów; formę niby dramatyczną, zmieniono tu tylko na niby powieściową, gwoli panującemu gustowi, ugładzono cokolwiek po wierzchu, wyperfumowano w jednym miejscu, osolono cokolwiek w drugim i w świat puszczono. Jakich skutków, pytamy, można oczekiwać od tej buduarowej teologii, tego salonowego kościoła?..

Autorka tak się zagłębiła w teologicznych subtelnościach, iż nie dokończyła nawet swego opowiadania. Jak tylko doprowadziła niemieckiego barona do Castelfidardo, a angielskiego lorda wyprawiła na dewocją do Rzymu, dalej widocznie zabrakło jej konceptu.

ROZMAIŁOŚCI.

DO REDAKTORA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

W Nrze 135 twego pisma umieszczonym był życiorys zasłużonego komedyo-pisarza naszego Franciszka Zabłockiego. W zbiorze moim autografów znalazłszy własnoręczny list tego poety, przesyłam ci go, dla ogłoszenia drukiem. Roku na nim niema, tylko data 19 julii; z toku jednak domyslać się można, że był pisany na parę lat przed zgonem Zabłockiego, kiedy jako kapłan na probostwie w Końsko-woli mieszkał. Zabłocki, pragnąc tylko, jak sam się wyraża, *świętego spokoju*, otrzymał wezwanie do współpracownictwa od redakcyi „Wiadomości brukowych,” w Wilnie wydawanych. List pełen był pochwał dla niego, a zarazem dowcipu. Książę Adam Czartoryski generał ziem podolskich, dowiedziawszy się o nim, polecił Łukaszkowi Gołębiowskiemu, ażeby prosił Zabłockiego o udzielenie mu otrzymanego listu od redakcyi *Wiadomości brukowych*. Zabłocki, czyniąc zadosyć woli księcia, przy piśmie niniejszem przesał i list żądany.

Wielmożny M. Dobr.

„List zgromadzenia trudniącego się wydawaniem dzieła *Wiadomości brukowe*, pełen dowcipu, dobrego smaku i grzeczności, z przyczyny zbytecznych pochwał dla mnie, na które nigdy nie zasłużyłem, a zatem onych niegodzien, był przeznaczony na wieczne utajenie i nikt o nim wiedzieć nie miał; bo wyjawiony, mógłby obudzić cenzurę najsprawiedliwszą, a mnie o niczem nie myślącego, jak tylko o *świętym spokoju*, podać w mniemanie, że zabiegam jakowymciś pochwałą i szukam ich w źródle pisma publicznego, którem trudnią się przyjaźni i łaskawi dla mnie, a wydawcom szacownego pisma *Wiadomości brukowe* zadać stronnictwo i rozszerzyć opinią dzieła szkodliwą, że kiedy zbytują w pochwałach dla talentów poziomych, zbytują też i w naganie wad które chcą poprawić; kredyt zatem dzieła ich potrzebny i powab do czytania, niezawodnieby szkodowały. Lecz gdy ja, książę jm. wie o nim i każe go sobie okazać, słucham szanownego rozkazu, ale najsołenniejszemu protestuję przeciw samej przyjaźni i obwiniam ją, że zawstydzisz mnie *in occulto* listu, przymusza teraz jeszcze więcej wstydzić się w objawieniu i wprowadza niejako przed sąd pana najoświeceniszego, który pomimo największych oddawna świadczonych łask dla mnie, tej mi nie będzie mógł uczynić, aby pochwałąm hojnie wylaną na mnie przyswiadczył.

Zostaję z uszanowaniem w.w. pana dobrod.

sługą najniższym,

d. 19 julii.

Ks. Franciszek Zabłocki.”

K. Wł. W.

(1) Rusy, to samo co płowy; ztąd Rusalki, dziewice o płowych włosach. Ztąd i Rusy tydzień na Rusi, gdy żyto, płowie. Nazwa też Rusów skandynawskich, później Rusinów, od tego koloru włosów zapewne pochodzi.

(2) Temi słowami powitał obrzędujący kapłani przed drzwiami katedralnego kościoła na Wawelu Władysława Jagiełłę, gdy do chrztu przystępował.